

24.

MECZENSTWO ZBAWICIELA

POEMAT

KAROLA BALIŃSKIEGO.

WE LWOWIE.

W DRUKARNI ZAKŁADU NAROD. IM. OSSOLIŃSKICH,
Pod zarządem uprzyw. dzierżawcy A. Vogla.

1864.

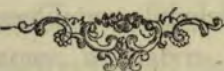
MĘCZEŃSTWO ZBAWICIELA.

MĘCZEŃSTWO ZBAWICIELA.

MECZEŃSTWO ZBAWICIELA.

POEMAT

KAROLA BALIŃSKIEGO.



WE LWOWIE.

W Drukarni Zakładu Narod. im. Ossolińskich.

1863.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat 72
00-330 Warszawa
Tel. 26-68-83, 26-62-41 w. 42
<http://pau.org.pl>



TAMAT

FABR. A. BALSZKOWICZ

W. F. L. W. I. F.

W. F. L. W. I. F. W. F. L. W. I. F.

1941

W. F. L. W. I. F.

SPOMNIENIE

O KAROLU BALIŃSKIM.

Dnia 10 stycznia 1864 umarł pośród nas Karol Baliński, jeden z najprzywiązańszych synów ojczyzny, pisarz i poeta znakomity. Ci co mieli sposobność poznać go bliżej, uwielbiali w nim nadewszystko prawy, szlachetny sposób myślenia, moc woli, słodycz i delikatność w obcowaniu, a obok niezaprzeczenie wyższych zdolności nadzwyczajną skromność. Żywot jego możnaby zamknąć w krótkich słowach. W Dzierzkowicach wsi województwa lubelskiego dnia 27 maja 1817 roku urodzony, w piątym od urodzenia swego roku sierota bez ojca i matki, w 17tym więzień stanu, w 21szym wygnaniec po stepach syberyjskich przez lat cztery blakający, w 28mym powtórny więzień stanu w cytadeli warszawskiej, a w 30tym roku życia swego wychodźca, tułał się zrazu w Galicyi i w Poznańskiem, później przez czas dłuższy we Francyi; nakoniec po kilkonastoletniem tułactwie wrócił na krótko między rodaków, i jakby na to tylko, aby złożyć głowę na tej ziemi ojczystej, którą kochał tak mocno.

II

Nie będziem się rozwodzić nad pojedynczemi życia jego przygodami, znajdują one zapewne miejsce przy wydaniu zupełnem pism jego; nie możemy się jednak wstrzymać od przytoczenia jednej przygody charakterystycznej, która poświadcza z jakim usposobieniem duszy w ważniejszych chwilach życia występował.

W roku 1833 zginął, jak wiadomo, w Warszawie śmiercią męczeńską Artur Zawisza wraz ze swymi towarzyszami. W dzień jego śmierci jeden z uczniów klasy ósmej warszawskiego liceum napisał na tablicy znany wiersz Wirgilego:

Powstanie z kości naszych mściciel.

Władza szkolna uznała w tem zbrodnię stanu. Zdano o tem sprawę namiestnikowi ówczesnemu, Pażkiewiczowi, który nakazał rektorowi wysledzić i surowo ukarać winnego.

Nalegał i upominał młodzież rektor Linde, aby winowajcę wydała, ale upominania te były bez skutku, żaden bowiem z młodzieży wydać tajemnicy nie myślał. Po daremnych tedy pogrózkach odezwał się niby serdecznie do uczniów, aby się zastanowili nad tem, jak straszne skutki z winy jednego spadną na wszystkich, i jakie nieszczęście dotknie przez to kraj cały, albowiem wołą jest namiestnika, iżby w razie nieprzyznania się winowajcy, szkoły były zamknięte. Karol, który wiedział dobrze, że sprawcą tego jest syn jego opiekuna, jedynak, całe szczęście i pociecha samotnego ojca, postanowił ochronić szkołę dla młodzieży a opiekunowi syna ocalić, wystąpił więc publicznie oznajmując, że on jest winowajcą, i został

III

uwięziony. Po niejakiem wszakże czasie dowiedział się o prawdzie rzeczywistej jego opiekun; porobiwszy więc kroki dla złagodzenia kary, polecił przyznać się swemu synowi, a Karola uwolniono.

Znane są jego poezye. Spory ich tomik zatytułowany Pisma Karola Balińskiego wyszedł w Poznaniu roku 1849. Są między niemi niektóre z pierwszej epoki, z czasów wygnania syberyjskiego, zalecające się niepospolitą pięknoscia. Z późniejszych jego pism spomniemy tu wyborny przekład dramatu Kaldersona „Kochankowie nieba“ tudzież twory oryginalne: „Głos ludu polskiego“ „Hasło polskie“ i „Bratnie słowo spiewakowi Mohorta“.

Przed rokiem nadesłał on do pisma „Biblioteka Ossolińskich“ znaczną część poematu swego któremu dał nadpis: „Męczeństwo Zbawiciela“ i takową w tomie drugim pisma tego wydrukowaliśmy. Utwor ten o większych rozmiarach, pomyślany szczęśliwie a z wielkim wdziękiem, prawdziwie po mistrzosku wykonany, byłby ozdobą każdego pisma i mógłby słuszną dumą natchnąć swojego twórcę. Skromny jednak autor przesłał go z pewną obawą, azali uznany zostanie godnym umieszczenia, a był szczerze uradowany gdy się dowiedział, że go bez wahania się przyjęto. Miał on nadzieję ukończyć niebawem ten poemat i w tem przypuszczeniu kazał jednocześnie z drugim tomem Biblioteki odbijać osobno te części które były gotowe. Gdy atoli śmierć wczesna nie dozwoliła mu rozwinąć w zupełności swoich pomysłów, puszczaamy w świat z poematu tego to, co wykończyć uścignął.

Rok 1863 kończył się i już niemal ostatnie godziny jego wybijały, kiedy odwidziwszy nas autor, odczytał nam cotylnko ukończony ustęp nowy swojego poematu, wzniosły, harmonijny i rzewny. Byłyto ostatnie chwile w których cieszył się zdrowiem. Nazajutrz bowiem poczuł lekką gorączkę, a po dniach kilku już nie żył. Ustęp ten ma nadpis „Zaprzaniec boży“ i tu go pod liczbą VIII dołączamy. Jestto spiew jego ostatni, a rodacy chętne mu ucho skłaniając, mogą usłyszeć w rzeczywistości nieco z tych tonów o jakich marzyła starożytność, mniemając je podsłuchiwać w spiewie konającego łabędzia.

Lwów dnia 31 stycznia 1864.

AUGUST BIEŁOWSKI.

I.

ZBAWICIEL W OGROJCU.

Ostatnia pańska wieczerza skończona —
Powstał Zbawiciel pośród uczniów grona,
I oni wstali — jest ich jedynastu,
Bo Judasz dawno wymknął się ku miastu.
I ku dolinie obrócili kroki,
A ta dolina zwie się Jozefata;
Jezus wciąż uczy, choć smutek głęboki
Już nim owładnął i serce przygniata.
Uczniowie przy nim tulą się w gromadce,
A jako dzieci ukochanej matce
Tak oni jemu dowieść usiłują
Co żywią w duszy, co dla niego czują;
Bo jeszcze wszystkie święte jego słowa
Każdy z nich żywo pamięta i chowa,
Serca ich jeszcze tlą świętym płomieniem
Przy jego sercu i pod jego tchnieniem.
Więc zapewniają Pana naprzemiany
O swej wierności niczem niezachwianej.

Lecz on przyszłości świadom tajemniczej,
 Rzekł pełen smutku i rzewnej słodyczy :
 „ Wszyscy się ze mnie zgorszycie tej nocy
 Stanie się bowiem co rzekli prorocy,
 Wszak napisano : uderzę pasterza
 I rozproszą się owce jego trzody“.
 A Piotr zawoła : niech się złe sprzymierza,
 Niech najstraszniejsze stawia mi przeszkody,
 W więzieniu, w bolach, nawet w zgonu chwili,
 Wierność cię moja nigdy nie omyli.
 — „Zaprawdę Piotrze, zanim kur zapieje,
 Wierność się twoja po trzykroć zachwieje“.
 Lecz on przy swoim obstawał zawzięcie :
 „Choć wszyscy zdradzą, ja dotrzymam świącie“.
 I szli, Pan mówi rzewnie i miłośnie,
 A smutek jego wzmaga się i rośnie.
 Więc go po ludzku cieszą, po swojemu :
 Czyż to przecuciu dowierzać każdemu ?
 Zkąd ten niespokój i trwogi tajemne ?
 Postrach to płonny, obawy daremne.
 Lecz wkrótce widząc że słowa ich próżne,
 Że się daremnie pocieszyć go kuszą,
 Zaczęli chwiać się i pokusy różne
 Jęły powoli owładać ich duszą.

I przeszli potok Cedron zadumani,
 I weszli w ustron zwaną Gethsemani,
 Małe to, ciche, opuszczone sióło,
 Chaty pustkami stoją na około,
 Za niemi ogród wielki opłocony
 Owocowemi drzewy napelniony,
 Ustron do dumań i modłów jedyna;
 Toż Pan z uczniami przebywa tu nieraz,
 Nieraz tu Jezus i jego drużyna
 Noce na modłach spędzał; ot i teraz

Ośmiu zostało w tem miejscu wybranem,
Pan poszedł z Piotrem, Jakóblem i Janem.

I weszli w ogród drugi, nieco mniejszy,
Lecz jeszcze cichszy, jeszcze odludniejszy,
Oliwne drzewa całkiem go zarosły,
Gdzieniegdzie skały nagie czoła wzniosły,
Gdzieniegdzie w skałach rozpadliny ciemne
I pełne grozy pieczary tajemne ;
Tutaj to, w głębi najdzikszego kąta,
Zbawiciel szuka miejsca do modlitwy,
Do najstraszniejszej z całym piekłem bitwy!
Godzina była wieczorna dziewiąta.
Na ziemi dawno zgasły światła ślady,
Mroczno i ciemno, lecz już za górami
Wyłynął księżyc niepełny i blady.

Zbawiciel ciągle rozmawia z uczniami,
A mowa jego coraz żałościwsza,
I w duszy jego trwoga coraz żywsza,
Bo on przeczuwa walkę co go czeka,
I że ta straszna chwila niedaleka.

„Rabbi! co tobie? co z tobą się dzieje?
Ty co dla wszystkich zawsze masz nadzieję,
Co zawsze wszystkim z ratunkiem pospieszasz,
Upadłych wznosisz, strapionych pocieszasz,
Tak dajesz upaść twojemu duchowi,
I tak się cały oddajesz smutkowi!“
Jan to przemawia, Jan, ów uczeń wierny,
Jezusowemu wciąż najbliższy łonu ;
A Pan mu na to w rzewności niezmiernej
„Smutna jest dusza moja aż do zgonu ;
Ostańcie w miejscu, ja sam odejść muszę,
Ale czuwajcie w modlitwie i skrusze ,

Bo przyjdą na was pokusy ogromne,
 Duchci ochotny lecz ciało ułomne“.
 Mówił tak do nich, bo widział już w duchu
 Chwilę następną, całe piekło w ruchu,
 I kłęby niby chmur coraz groźniejszych,
 Pełne widziadeł coraz to straszniejszych.

Więc jako zlecił w miejscu pozostali,
 A on samotny szedł maluczko dalej.
 Zstąpił ze wzgórza do podziemnej groty,
 Niby kaplicy we wnętrzościach skały,
 A liścia, krzewy i roślinne sploty
 Co się ze szczytu do dołu zwieszały,
 Jakby zasłona lub więzienna krata,
 Odcieły Pana od całego świata.

Gdy się Zbawiciel rozstał z uczniami
 Wnet one straszne, groźne widziadła
 Otoczyły go zewsząd tłumami
 Jakoby jaka zgraja zajadła,
 I coraz bliższym, ściślejszym chórem
 Okrążyły go zewsząd jak murem.
 Toż gdy wstępował do groty onej,
 Drżący był, blady, cały wzruszony,
 Niby podróżny kiedy się chroni
 Od nawałnicy lub od pogoni.
 Ale któż ujdzie hordom szatańskim?
 Wpadły do groty za śladem pańskim
 I rosną w koło, coraz widniejsze,
 Coraz zjadliwsze, coraz groźniejsze.
 On padł na klęczki w serdecznej męce,
 I ku niebiosom wyciągnął ręce,
 I w najzarliwszej ogniu modlitwy
 Brał siłę, zbroję i miecz do bitwy.

Wróg też już stanął w całej potędze ;
 Sam w głębi skryty, naprzód wysła
 Roty zaciężne, piekielne jędze ,
 Grzechów to naszych ogrom i siła !
 Grzechy to ludzkie uosobione ,
 W nieprzeliczone szyki sprawione ,
 Straszne szkaradą swoją ohydną
 Już nie ukrytą w duchu , lecz widną.
 I tak do szturm idą te krocie ,
 A każdy hufiec z osobną zbroją ,
 Każdy w właściwej sobie brzydocie ,
 Rwą się do boju , lecz w szyku stoją ,
 W porządku strasznym , zbrodnia po zbrodni ,
 Coraz to cięższe , i nie ma końca !
 A jako cierpieć niezdolna słońca
 Cna nocna godzi na blask pochodni ,
 Tak i ta lawa grzechów wezbrana
 Całą moc zwraca k' jednej iskierce ,
 Wszystkie te miecze służby szatana
 Godzą w to jedno , w Chrystusa serce !

Szatan się śmieje , a tak się śmieje ,
 Że samo nawet piekło truchleje .
 „I coż czy widzisz wszystkie te krocie ?
 Myśliszże wygrać w takiej potrzebie ?
 Trwaszże w miłości ku tej brzydocie ?
 Wszystkie te brudy przyjmiesz na siebie ? “
 I serce Pana za każdym razem
 Przeszywał coraz sroższym obrazem ;
 A ów baranek bez zmaży biały ,
 Przyjął na siebie ogrom ten cały .

Więc szatan nowe siły wyteża
 I dotkliwszego szuka oręża .
 Chciałby zamącić w Panu sumienie ,
 Chciałby w pierś jego wrzucić zwątpienie :

Czy wszystkie przezeń spełnione czyny,
 Jak należało, były bez winy.
 „Ty co to cudze i takie skazy
 Bierzesz na siebie z takim pośpiechem,
 Jesteś sam wolen od wszelkiej zmazy?
 Nie jesteś własnym obciążon grzechem?“
 Więc z bezwstydnością swoją bezczelną,
 I zuchwałością swoją piekielną,
 Jął liczyć szereg win urojonych
 Pozorem prawdy sztucznie upstrzonych.
 Więc uczniów pańskich zboczenia wszelkie,
 Więc ztąd u ludzi zgorszenie wielkie,
 Spory na łonie rodzin zasiane
 I starodawnych zwyczajów zmianę.
 Zgoła wystąpił szatan jak święty,
 Jak mowca krzywdą ludzką przejęty
 Jak mąż porządku, jak praw obrońca
 Zwyczajom ojców wierny do końca,
 I jako strażnik związków rodzinnych,
 Jako opiekun słabych, niewinnych,
 I jak przeciwnik nowości wszelkiej,
 I jako ludu miłośnik wielki.
 Toż w faryzejskim swoim zapale
 Wyrzucał Panu rzeź niewiniątek,
 Bo to nie Herod, nie Herod wcale,
 Lecz Pan swem przyjściem dał jej początek.
 Wyrzucał Panu Jana Chrzciciela,
 Że go od śmierci choć mógł, nie zbawił,
 Wyrzucał rozpacz chorych tak wiele,
 Których wyleczyć mógł a zostawił;
 Że tylu rodzin spokój zakłócił,
 Że własnej matki serce zasmucił,
 Że winowajców wspierał i bronił,
 Że grosz składkowy sam brał i trwonił.
 Słowem, piekielnym swoim przyrządem
 Najwyższym cnotom dał pozór winy,

I mógł był zachwiać niejednym sądem,
 Co czyny sędzi a nie przyczyny,
 Co patrzy tylko na ziemskie skutki,
 Nie na niebieskie, wyższe pobudki.

Zrazu Zbawiciel w strasznej tej wojnie,
 Choć drżący cały, wytrwał spokojnie,
 Lecz gdy przed duszą jego widomie,
 Złość ludzka wstała w całym ogromie:
 Ta przeciw Bogu niewdzięczność twarda,
 Takiej miłości taka pogarda,
 I gdy te skały co się nie kruszą,
 Podważyl sercem, podźwignął duszą,
 Tak go to straszne przygniotło brzemię,
 Tak go zapasy zmogły zabójcze,
 Że jak bezsilny upadł na ziemię
 Wołając w bólu: „Ojcze mój! Ojcze!
 Straszny ten kielich oddal odemnie!
 Ty wszystko możesz! oddal go Boże!“
 A potem jakby wzmocnion tajemnie,
 Jął znów się modlić w cichej pokorze:
 „Ale nie moja, Ojcze mój! Panie!
 Lecz Twoja wola niechaj się stanie“.

Ach! jego wola i wola ojca,
 Jednoć to było i jest i będzie,
 Lecz on jak na świat tak do ogrójca
 Przyszedł, by stanąć w śmiertelnych rzędzie,
 Jak człowiek tylko, z ludzką słabością,
 Ziemię i piekło zwalczyć miłością,
 I wskazać ludziom jakby na dłoni
 Że co on zdziałał mogą i oni,
 Że jego bronią i jego drogą,
 Ziemię i piekło zwyciężyć mogą.

Powstał, lecz w duszy nie ma spokoju,
 Jeszcze daleko do końca boju,

Jeszcze nie złamał straszego wroga,
 Jeszcze nim miota boleść i trwoga.
 Powstał bezsilny, błądy i drżący,
 Jakby pomocy ludzkiej pragnący,
 I szedł ku swoim, a tak zmęczony
 Że z każdym krokiem chwieje się w strony,
 Więc się opiera o ściany skały,
 A zimnym znojem oblany cały.
 Tak szedł do miejsca, gdzie się rozstali,
 I zastał wszystkich — wszyscy trzej spali.
 Więc pograżonych gdy ujrzał we śnie,
 Upadł tuż przy nich, jęknął boleśnie,
 I drżące ku nim wyciągnął dłonie
 I z głębi serca woła: Szymonie!
 Ty spisz! czyż ani jednej godziny
 Trwać nie możecie w czuwaniu zemną!
 Więc się ocknęli, czując do winy,
 Przejęci jakąś trwogą tajemną,
 Bo ledwie mogli rozpoznać Pana
 Taka w nim straszna widna odmiana,
 Tak wielka boleść w jego postaci,
 I już nie wiedzą co myśleć mają,
 I coby począć wzajem pytają:
 Czy pozostałych przywołać braci
 I zebrać uczniów poczet sowitszy?
 Czy iść ku miejscom bardziej bezpiecznym?
 A Pan im na to głosem serdecznym:
 „Gdybym lat drugie trzydzieści i trzy
 Nauczał, w służbie bożej sposobił,
 Leczył i wskrzeszał i cuda robił,
 I toby jeszcze za mało było,
 I toby jeszcze nie zastąpiło
 Tego co dziś mi spełnić należy,
 Co spełnię zanim północ uderzy.
 Tamtych zostawcie, sami dotrwajcie,
 Ale się módlcie! ale czuwajcie!“

I chwilę jeszcze pozostał z nimi,
 Mówił jak z braćmi ukochanymi,
 Sam pełen bólu onych pocieszał,
 W wierze pokrzepiał, odwagę wskrzesał,
 Wskazywał całą słabość śmiertelnych
 I straszną siłę potęg piekielnych,
 Że człowiek temu nie sprosta wrogu,
 Że siła na to jest tylko w Bogu,
 Więc że gdy zadrżą jak on w ofierze,
 Niech biorą siłę z kąd on ją bierze.
 I poszedł znowu ku onej grocie
 W wielkiej boleści, w strasznej tęsknocie.
 A oni za nim chwilę patrzali,
 Nagle w uściski rzucą się sobie
 I chwilę jeszcze rzewnie płakali;
 Potem gromadką siedli w żalobie,
 I w zwoje płaszców pokryli czoła,
 Modlą się pewnie, cisza do koła.
 A do północks już od tej pory
 Braknie godziny tylko półtory.

W Jerozolimie pusto i głucho,
 Rzadko szmer jaki pochwyti ucho,
 Każda rodzina w domu zajęta
 Do jutrzejszego przyrzędem święta.
 Ulice puste, tylko czasami
 Pożny przechodzień mignie przelotnie,
 Czasami kilku po za domami
 Pogwarzą, znikną — i znów samotnie.
 Ucznie to pańscy — a z ich postawy
 Widać że w sercach pełni obawy.

Śród niewiast świętych, Bogarodzica
 Gości u Maryi matki Markowej;
 W sercu Przekzystej boleść, tęschnica
 Nieopisana ludzkiemi słowy!

Już niepokojem straszny miotana
 Chce iść do miasta po wieść od Pana,
 Wtem Łazarz, za nim Nikodem wchodzi
 I zgodnym słowem w to jedno godzą,
 Że się niczego trwożyć nie mają,
 Że faryzeje nic nie knowają,
 Że jeżeli nawet o co się kuszą,
 To na czas inszy odłożyć muszą,
 Bowiem nie może być przedsięwzięta
 Rzecz taka w przeddzień takiego święta.
 Tak oni mówią, bo im nieznaną
 Zbrodni Judasza już dokonaną.

Gdy Pan do groty zstąpił raz wtóry,
 Jeszcze straszliwsze tłoczy go brzemię,
 Drżące ramiona podniósł do góry
 Ukłękł i krzyżem upadł na ziemię,
 A szatan złaman w pierwszej szermierce
 Nową już włócznię wbija mu w serce.
 W blasku piekielnej swojej pochodni,
 W ciągu przyszłego dziejów pochodu,
 Odkrywa Panu w ogromie zbrodni
 Całą niewdzięczność ludzkiego rodu,
 Do końca świata w życiu zbrodniczem
 Niepoprawioną nigdy i niczem.
 Więc w dotykanych obrazach stawia
 Uczniów, wyznawców przyszyłych męczarnie;
 Fałsz, odszczepieństwo, straszne bezprawia,
 Rozrywające bożą owczarnię;
 Oziębłość, martwość w tłumie podwładnych,
 A przełożonych pychę i chciwość,
 Usta pismiennych pełne słów zdradnych,
 Kłamstwem ich wiara, kłamstwem żarliwość;
 Więc opór Bogu we wszystkich stanach,
 Więc świętokradztwo nawet w kapłanach,

Więc też u samej świątyni proga
 Na wzór wzniesionej i na zbawienie
 Obrzydliwości i spustoszenie!
 Zamiast czci bożej, męczenie Boga!
 Jest tu w postaci wszelkiej bluźnierstwo:
 Wszelkie odstępstwo, wszelkie kacerstwo,
 Co to w kłamanej swojej pokorze
 Kasa się dzieło poprawiać boże;
 Zgoła fałsz wszelki, bez maski swojej,
 Nawet ów co się w znak krzyża stroi.

Wszystkie następnych wieków szkarady
 Do końca dziejów, do końca świata,
 Z ludzkim obliczem najbrzydsze gady
 Przed Zbawiciela szatan wyniata,
 „Objąłem, woła, czasów krawędzie,
 Takim był człowiek i jest i będzie.“
 W blasku szatańskich onych płomieni
 W przestrzeni światów, wieków przestrzeni,
 Przez niezliczonych zbrodni ciemnicę
 Dostrzegł Pan wreszcie swoją winnicę.
 Ciężą ku ziemi grona jej święte,
 Tak pełne! jednak jakby nietknięte!
 A sok niebiański co sam z nich płynie,
 Nie w serca wsięka ale w pustynię.
 Bo tuż w okolo pustynia, stepy,
 Piaski spalone od skwaru słońca,
 A po tych stepach ciągnie tłum ślepy,
 Tłum niezliczony, zda się bez końca.
 A wszyscy, wszyscy, szukają zdroju,
 Bo choć zgłodniali, bardziej niż chleba
 Dusze ich spiekłe pragną napoju.
 Dziwna ślepota wszystko spostrzega,
 Oczy ma jasne i wszystko widzi,
 Prócz tego tylko czego jej trzeba!

Z winnicy pańskiej służba wybiega,
 Wejście wskazuje, napój ogłasza,
 I całym sercem wzywa, zaprasza,
 A tłum się na nią złości i szydzi
 I kamieniuje! — i w strasznym śmiechu,
 Dalej w gwałtownym dąży pospiechu,
 Aż wycieńczony w skwarnej tęschnicy
 Pada i kona, krok od winnicy!
 Spalony skwarem, w okropnym znoju,
 Ginie z pragnienia, o krok od źródła!

Ujrzał Zbawiciel owczarnię swoją
 Pełną opieki, zdrowia, swobody;
 Za jej ścianami jak gdyby roje
 Nieprzeliczone snują się trzody;
 Znędziałe głodem, znużone spieką
 Bez opiekuńczej konają ręki,
 Albo pod krwawych wilków opieką
 Pełne boleści wydają jęki.
 Z winnicy pańskiej, z bożej owczarni,
 Jako przystało na wierne służki,
 Jeden za drugim biegną pastuszki
 Z płaczem na widok takich męczarni;
 Nęcą i wabią, próżne wołania!
 Trzoda za trzodą każda się wzbrania,
 I każda dalej na oślep zmierza,
 Albo przy wilkach upornie stoją,
 A żadna nie chce iść do pasterza,
 Co życie kładzie za trzodę swoją.

Ujrzał Zbawiciel swoją winnicę
 Oną wieczystej prawdy gromnicę,
 Płonącą po nad wieków otchłanie
 Jak światło portu na oceanie.
 A tuż, tuż, pośród wrzawy i jęku,
 Jakby wśród nocy, z świeczkami w ręku,

Snują się tłumy błędne, bez końca,
 I upórzywie szukają..... słońca!
 Jak to? czyż zgasło? — gdzie tam! goreje,
 Jak zawsze światłość dla wszystkich leje,
 Lecz dym tych świeczek co wciąż im gasną
 Kopciem i brudną pomroką własną
 Tak ich ociemnia, tak im wzrok mroczy,
 Że słońce już ich nie bije w oczy!
 I myślą biedni że k' słońcu dążą,
 A oni w kółku na miejscu krążą.
 I tak w okropnej onej ślepocie
 Przy wiecznem słońcu z świeczkami w rękach,
 Jakby robactwo pełzną te krocie,
 Tłoczą się, gniotą, i giną w mękach!

Z winnicy pańskiej, z onej to wieży,
 Jeden za drugim posłaniec bieży:
 „Bójcież się Boga! toć to dzień biały!
 Rzućcie te brudne z móżgu łojówki!
 One wam czystość źrzenic wyssały;
 Dość już tej strasznej w kółko wędrówki!
 Błędne te światła o ziemię rzućcie,
 Podnieście oczy, w niebo je zwróćcie,
 A wnet mieć będą wasze powieki
 Światłość na wieki, wieki i wieki.“

A on tłum straszny pychą zciemniały,
 Szalonym śmiechem wybucha cały,
 I wzgardą zbywa każdego gońca,
 Odpycha słońce szukając słońca,
 I w dobrowolnej swojej męczarni
 Kona w ciemnościach krok od latarni,
 Od onej świętej latarni prawdy
 Co wiecznem słońcem płonie na zawdy!

Ujrzał Zbawiciel swoją winnicę
 Oną owczarnię, oną strażnicę,

Świątynię bożą, ów kościół żywych
 Na niewzruszonej wzbity opoce,
 Tę matkę wszystkich ojczyzn prawdziwych.
 Opodal jakieś tłumy sieroce,
 Nędzne, wybladłe, błędzą wśród świata
 Jak liście, którem wicher pomiata,
 Porozdzielane w różne gromadki;
 Biedni wygnańcy z pod ojców strzechy,
 Na świecie dla nich nie ma pociechy
 Bo to sieroty, szukają matki!
 Dzieci, oj dzieci! na całym świecie
 Takiej jak wasza, och! nie znajdziecie!
 I lata płyną, tak szybko płyną!
 A smutek wzrasta z każdą godziną,
 A coraz ciężej pośród obczyzny;
 Więc poczną sobie tworzyć ojczyzny.
 Mój Boże! każda to zlepek lichy,
 Co niknie z lada wiatru powianiem;
 Twórz nie tęsknoty już, ale pychy,
 Ziejący złością i uraganiem.
 Nędzna budowa raz wraz się wali,
 To znów taksamą stawiają dalej;
 A ile mózgów, tyle tych tworów,
 Tyleż obozów wśród krwawych sporów;
 A są tam także niby świątnice,
 I kazalnice i kadzielnice,
 Których dym płynie w hołdzie ku bóstwu,
 I niejednemu, o nie! lecz mnóstwu!
 A najgłówniejsze wśród tych bóstw tłumu
 Jest bóstwo pychy, zwane rozumu,
 I drugie starej ludzkiej roboty,
 Mimo nazw różnych, cielec to złoty.
 Niegdyś, ha! niegdyś, w ojczystym progu
 Grzech było wspomnieć o takim Bogu,
 Oni do niego kornie się modlą,
 Więc serca twardzą, więc duszę podlą,

I już się z sobą jak wrogi swarzą,
I walczą fałszem, brudem, potwarzą.

A matka święta, matka prawdziwa,
Z bożej winnicy, z głębi kościoła,
W boleści co jej serce rozrywa,
Woła na dzieci — ach! próżno woła!
Śród wrzawy świata, mózgów chaosu,
Już serdecznego nie czują głosu!
Matki szukając, niezgodne dzieci
Tępią się wzajem, o krok od matki!

Z każdym obrazem coraz straszniejszym
Szatan grzmi śmiechem, coraz huczniejszym:
„Wszak warto ponieść mękę wszelaką
Za owoc taki, za wdzięczność taką.
Warto, o! warto, cierpieć dla świata,
Gdy dzieło taka wieńczy zapłata!
Dzieło, jak wieczność wielkie, bez granic,
To tylko szkoda że całkiem na nic;
Bo ród człowieczy zawsze i wszędzie
Tylko za moim głosem iść będzie.“

Ach! co się w duszy Jezusa dzieje,
To poznać łatwo z rąk załamanych,
Z postaci co się słania i chwieje,
Z jęków głęboko z serca wyrwanych,
Z potu co w gęstych kroplach krwi spływa,
Jaka tam w piersi walka straszliwa!

Jezus już tylko jak syn człowieczy,
Obleczon w całą ludzkości nędzę,
Chce złamać siłę szatańskich mieczy,
Dotrwać zwycięzko onej potędze,
Co w sercach nawet najlepszych ludzi
Wznieca zwątpienie i niechęć budzi,

Wszelką ofiarę mianując mylną,
 Albo daremną, albo bezsilną.
 Ach! ta najsroźsza z wszystkich pokusa,
 Głos, co najświętszym natchnieniem przeczy,
 Do wszelkich cierpień ów wstręt człowieczy,
 Chwieje w tej chwili sercem Chrystusa:
 Gdy męka tylko niewdzięczność płodzi,
 Czyż warto cierpieć? i czy się godzi
 Cierpieć za takich i nadaremnie?
 Czyż tego ojciec żądasz odemnie?

A szatan widzi ten ból nad bole,
 Ten szczyt cierpienia, słabnącą wolę,
 I wróży sobie tryumf już bliski,
 Więc na raz skupia wszystkie pociski,
 I wszystkie węzły szatańskiej matni
 Na cios stanowczy, na cios ostatni.
 Więc potępieńców bezmierne roje
 Z pokoleń tyla i wieków tyla
 Przeciwno Panu wiedzie na boje,
 Pędzi przed sobą, wzmaga, zasila,
 Zagrzewa w boju, słabnących wspiera,
 Sam najróżniejsze kształty przybiera.
 Najczęściej jednak jak wąż olbrzymi
 Ze łbem, na którym korona błyska
 Całą tę zgrają kłębami swymi
 Zgarnia i zewsząd na Pana ciska;
 I potępieńców chmura ta wściekła
 Zbrojna we wszelkie narzędzia piekła,
 Jak fala morska wiewrami gnana
 Wciąż bez ustanku bije w pierś Pana.
 A w tych służalców piekielnych steku,
 Wszelkiego stanu i płci i wieku,
 Wszelkie cielesne widać kalectwa,
 Tajnych to chorób ducha świadectwa!

Głusi, bo zawsze na słowa święte
 Serce i ucho mają zamknięte ;
 Ślepi, bo prawdy cierpieć nie mogą,
 Kłamstwo ich bóstwem, żywiołem, drogą ;
 Chromi, bo nigdy wznieść się ku Bogu,
 A wiecznie radzi pełzać w parłogu ;
 Niemi, bo prawdę choć czują w łonie
 Słówka nie raczą rzec w jej obronie ;
 I paraliżem tknięci, bo zawdy
 Jad lub głąz tylko mają dla prawdy ;
 A co największy ból w Panu nieci,
 Są tu niestety, ach ! są i dzieci !
 Tak, dzieci ciałem, z postaci, z twarzy,
 Ale zbrodniami i duchem starzy !

Powódź ta straszna w wściekłym zapędzie
 Z piekielnem wyciem, z przekleństwem rozgłosem,
 Zbrojna we wszelkie męki narzędzie,
 Nieprzerywanym uderza ciosem,
 Jako w stodołach u gospodarzy
 W snop zboża biją cepy młockarzy,
 Ach ! tak, zaprawdę ! niebieskie ziarno
 Padło na ziemię z bożej prawicy,
 Aby skonało śmiercią ofiarną
 I plon wydało świętej pszenicy,
 Na chleb żywota, z bożej opieki,
 Dla wszystkich ludzi na wszystkie wieki.

Jakby złamany w tym strasznym boju,
 Padł Jezus pełen krwawego znoju.
 Z piersi co tylko jękiem oddycha
 Płynie modlitwa, urwana cicha :
 Odwróć odemnie kielich ten, Panie !
 Lecz twoja wola niechaj się stanie.
 Powstał, do koła wodzi oczyma
 Jakby z kąd czekał pomocy bratniej ;

Ach! znać że w duszy spokoju nie ma,
 Że bój ten krwawy to nieostatni!
 Że kielich jeszcze niespełnion do dna,
 Ofiara jeszcze niebios niegodna,
 Bo duch od świata jeszcze niewolny,
 Więc też i dźwignąć krzyża niezdolny.
 Chciałby do swoich, a tak się chwieje,
 Jak ociemniały ima się ściany,
 Co krok ustaje, co krok słabiej,
 Wybladły, drżący, cały krwią zlany;
 Zgoła podobien jest do człowieka
 Co z resztą życia z boju ucieka.

Dobił się wreszcie ku swej czeladce,
 Oni nie leżą jak wprzód w gromadce,
 Lecz w kuczki siadłszy, jak zwykł w żałobie
 Izrael płacząc na świeżym grobie,
 Kolana w obie ujawszy dłonie,
 A na kolanach oparłszy skronie,
 Słabi na duchu, trwożni, stroskani,
 Przerwawszy modły, drzemią znękani.

Na szelest kroków pańskich w uboczy
 Ockną się nagle, otworzą oczy,
 Ale śmiertelną przejęci trwogą,
 Jakby przykuci, powstać nie mogą,
 Tak ich przeraża sam widok Pana
 Gdy przy xiężycu ujrzą go blasku,
 Włosy w nieładzie, twarz krwią oblana,
 Szaty stargane, zszarżane w piasku,
 Postać złamana, chód wątły, chwiewny,
 I ten jęk cichy, a taki rzewny!
 Dopiero kiedy upadł na stronie
 Ku nim w boleści podnosząc dłonie,
 Porwą się z miejsca, w zawody spieszą,
 Podnoszą, tulą, ściskają, cieszą.

A on przed nimi w całej szczerości
 Człowiecze swoje składa słabości :
 Wymienia one z szatanem boje ,
 Bole , upadki , cierpienia swoje ,
 Pokusy co mu duszę kaleczą ,
 I całą , całą niemoc człowieczą .
 Mówił o męce , która go czeka ,
 I że ta chwila już niedaleka .
 Więc też w żałości , w smutku niezmiernym ,
 Poruczał matkę ich sercom wiernym ,
 I prosił żeby mieli baczenie
 I troskę bratnią o Magdalenie .
 Oni słuchają , ale im w duszy
 Głos jakiś zimny słowa te głuszy ,
 I sądzą nawet , że one słowa
 Rodzi gorączka , słabość chwilowa .
 Ale niedługo , z siłą ogromną
 Słowa te święte im się przypomną .

Gdy Pan do groty wszedł raz ostatni
 Nie mógł się obejść bez dłoni bratniej ,
 Więc go pod rękę wzięwszy , podwiekli ,
 Sami wrócili , znów w kupce siedli ,
 W dłonie ukrywszy stroskane czoła
 Dumają , milczą . Cisza dokoła ,
 Żadnego gwaru od strony miasta ,
 Godzina z górą już jedenasta .

Wszystko spoczywa , we śnie świat cały ,
 A czuwa jeno baranek biały .
 O ! czuwa jeszcze i najgoręcej ,
 Piekło strwożone i niktże więcej ?
 Czyż ani jedno człowiecze serce
 Nie przyjdzie z ulgą Panu w cierpieniu ?
 Chociażby tylko w czucia iskierce
 Chociażby tylko w jęku , w westchnieniu !

Z tak wielu męży, niktże, nikt zgoła
Chwili z nim razem cierpieć nie zdoła?

O jest! jest serce, jest ten skarb rzadki,
Jedno, lecz jak świat, jak wieczność wielkie
Za swoje bierze cierpienie wszelkie;
Serce niewiasty, serce to matki!

W ogrodzie Maryi, matki Markowej,
W miejscu ustronnem, w ciszy grobowej,
Cała oblana światłem xiężyca,
Na głazie, czuwa matka - dziewica.
Jakby na dwoje bolem złamana,
Bezsenne czoło w dłoniach ukrywa,
Po których cicha z duszy wylana
Święta łza matki lśni się i spływa.
Dla jej miłości nie ma zasłony,
Nie ma przestrzeni na wzrok jej ducha,
Bo syn na wieki z nią połączony
Och! nie ziemskiego siłą łańcucha.
Krwi jego pełne piekielne bronie
Wszystkie zarazem w jej toną łonie.
Toż nieraz drżąca, śmiertelnie blada,
Jak gdyby martwa na ziemię pada,
To znów się zrywa wzruszona cała,
Jakby z pomocą jemu biedz chciała,
Schylona z dłońmi wyciągnionemi,
Jakby go chciała podnosić z ziemi,
Lub zwilżyć jego usta spalone
Lub otrzeć lica we krwi zbroczone.
I on gdy w boju siłę utracą,
Ducha i oczy ku matce zwraca,
Spojeni w wieczność świętem dążeniem,
Łączą się z sobą ducha promieniem,
I tym promieniem w cierpienia próbie
Podporę wzajem przynoszą sobie.

Przy matce bożej po obu stronach,
 Jakieś niewiasty, twarze w zasłonach:
 To Salomea duszy prostaczej,
 I Magdalena martwa z rozpaczy.

A owiż ośmiu co się zostali,
 Pod strzechą pustych chat gethsemańskich?
 Dużo prawili, długo dumali
 O przepowiedniach ostatnich pańskich,
 Aż coraz większą przejęci trwogą
 Widzą dla siebie przyszłość złowrogą.
 Gdy go zabiją co będzie z nami
 Cośmy dla niego wszystko rzucili?
 Zbiegami bądźmy i wyrzutekami,
 Będą nas wszyscy śmiechem karmili,
 Wszyscy odepchną, okryją wzgardą!...
 I tak dumając posnęli twardo.
 A reszta uczniów w okropnej trwodze
 To tam, to owdzie, błądzą po drodze,
 A przestрах rośnie, więc do ostatka
 W rozsypkę poszła cała gromadka.

A Pan się modli w grocie ogrojca.
 Nieraz, och! nieraz, złamany w sile
 Pada i z bólu tarza się w pyle,
 To znów się korzy przed wolą ojca.
 Aż oto nagle w jasnej przezroczy
 Wielki się przed nim widok roztoczy.
 Sfery to jakieś jakby podziemne,
 Przybytki jakieś ukryte, ciemne,
 Ciemne bo jeszcze w one więzienia
 Niedoszedł święty promień zbawienia,
 O który modlą w żalu i skrusze
 Od wieków tutaj tęskniące dusze,
 Dusze pobożnych i sprawiedliwych,
 Lecz nieobmyte w źródzu wód żywych,



Nieoczyszczone w krwi barankowej,
 Więc wdziac nie mogą szaty godowej,
 Której każdemu koniecznie trzeba,
 Kto chce iść z Panem, kto chce do nieba.
 Czekają chwili aż im syn boży
 Krwią swoją bramy niebios otworzy.

Gdy Jezus wzmocnion takim widokiem
 Wszystkich ogarnia sercem i wzrokiem,
 Znów aniołowie w jasnej przezroczy
 Odślonią widok niemniej uroczy.
 Widok to tłumów nieprzeliczonych,
 Pochód to przyszłych błogosławionych,
 Co za Chrystusem krzyż niosąc pański
 Poczną świat nowy, świat chrześcijański.
 Święci wyznawcy i męczennicy,
 Kapłani, wieszczę i wojownicy,
 Wszelkiego wieku i płci i stanu,
 Mali na świecie, lecz wielcy w Panu.
 A wszyscy strojni w szaty godowe
 I w trymfalne wieńce, cierniowe!
 Nad nimi płynie chorągiew wielka,
 Przed którą legnie potęga wszelka,
 Znak to pod którym, jak nam czuć dano,
 Sam szatan musi ugiąć kolano.
 A tłum ten święty błogosławiony
 Starego świata, nowego świata;
 Dążąc ku Panu z obojej strony,
 Zewsząd go żywym wieńcem oplata.

Widok ten cudny, pocieszający,
 W serce Jezusa wskroś przebolące
 Wnika jak balsam orzeźwiający
 I krzepi jego siły omdłające.

Ostatni widok w górze się wznosi
 Bo czasy jeszcze odległe głosi;
 I zniknął szybko, a pod nim nisko,
 Inny się teraz widok roztacza,
 Nisko, na ziemi, bo on oznacza
 Czas co już blisko i bardzo blisko!
 Widok to złości ludzkiej, szatańskiej,
 Obraz to męki i śmierci pańskiej!
 Całe męczeństwo i zgon Chrystusa
 W najżywszych rysach stoi w pobliżu,
 Od bezecnego zdrajcy całusa
 Aż do ostatnich słów już na krzyżu.
 Wszystko tu widne! zdrada Judasza,
 Pojmanie pańskie, ucieczka uczeni,
 Zawziętość zbirów, sąd Kaifasza,
 Policzki, gwoździe, krzyż i cios włócznie,
 I męka Maryi ach! niezrównana,
 Łzy Magdaleny i boleść Jana.
 Wszystkie te przed nim stają męczarnie,
 A on je wszystkie przyjął ofiarnie!
 Lecz bojem takim złamane ciało
 Krwawym się znojem całe oblało,
 I padł na ziemię jakby bez ducha,
 Wkoło noc czarna i cichość głucha.
 Aż oto nagle w światłach niebiańskich
 Anioł zstępuje, dotknął ust pańskich
 I znikł, i znowu cisza wokoło.
 Po chwili Jezus podnosi czoło,
 Powstał na klęczki, wniósł w górę dłonie,
 I duszą całą w modlitwie tonie,
 Cały ojcowskiej poddany woli,
 Wolny już całkiem od ludzkich boli;
 Powstał, a chociaż smętny i rzewny
 Wzrok ma pogodny, chód już nie chwiewny
 Otarł z krwi czoło i włosów sploty,
 Otrząsł pył z szaty, i wyszedł z grotty.

Uczniowie spali jak wprzód z wieczora,
 „Wstańcie już wstańcie, spać już nie pora,
 Chwila wybiła, zdrajca w pobliżu
 I męka moja i śmierć na krzyżu.“
 Więc się zbudzili, a gdy powstali,
 Wskazał pan ręką w stronę Sionu;
 Tłum jakiś zbrojny widać w oddali
 W dole, po drugiej stronie Cedronu;
 A migające krwawo pochodnie
 Zdala już wróżą zbrojców i zbrodnię.

Pan chwilę jeszcze mówił z uczniami
 Spokojny, silny, choć zawsze rzewny;
 Czoło promienne, głos dźwięczny, pewny,
 Znać że go żadna trwoga nie plami.
 Nauki, które powtarzał nieraz,
 Jeszcze króciuchno podał im teraz,
 Wreszcie rzekł; bracia! czas mi ku męce,
 Sam się bezbronny oddam w ich ręce,
 Chodźmy, już pora! Oni stroskani
 Szli z nim w boleści wielkiej i trwodze,
 Naprzeciw zbirom, ku onej drodze
 Między ogrojcem a Gethsemani.

II.

Z D R A D A.

Judasz swój zamiar knując szatański,
 Nie myślał wcale o śmierci Pańskiej;
 Zyskiem zajęty zapamiętałe
 Dalszych już następstw niewidział wcale,
 Zatopion cały w dziele zbrodniczem
 Nie był już zdolny myśleć o niczem.
 Pieniądz mu wszystko sobą zasłaniał
 I całą jego duszę pochłaniał.
 Ta żądza zysku ta chciwość podła,
 Już go do złodziejstw dawno przywiodła,
 Opiece jego zwierzone grosze
 Z bratniego mieszka ściągał po trosze.
 Lecz niedość było tego rzemiosła,
 Bo chciwość rósła, gwałtownie rósła,
 Więc w coraz żywszych pokus nacisku
 Począł o większym przemyślać zysku.

Dawniej uroił sobie nadzieję
 Że Jezus judzką koronę wdzieje,

Na salomońskim tronie zasiędzie
 I po królewsku panować będzie;
 Więc uczniom hojne rozda nagrody
 Wielkie godności, złote dochody.
 W tej to nadziei tajonej sztucznie
 Pomiędzy pańskie wcisnął się uczenie.

Lecz próżno czeka przemyślny złodziej
 Owo królestwo coś nienadchodzi;
 Owszem przeciwnie, przyszłość się chmurzy,
 Sanhedrin grozi, Sion źle wróży,
 I faryzejskie czoła jaśnieją
 Jakby tryumfu pewną nadzieją.
 A życie uczniów zawsze prostacze,
 Zawsze ubogie, ciche, tułacze,
 Jak ptastwa które burza rozprasza,
 Nie! takie życie nie dla Judasza!
 Judasz żyć musi w błogim spokoju,
 Judasz żyć musi miękko, wygoźnie,
 W blasku, znaczeniu, przy złotym zdroju,
 Chociażby, przez tak nazwane, zbrodnie,
 Bo czemuż zbrodnia? to słowo tłumu
 Czem jest w czystego oczach rozumu...?
 Jął więc na rozum, i rozumował,
 I poty ważył, poty mędrkował,
 Aż czoło jego zgryzotą blade
 Powiło płód ów piekielny, zdradę!
 Pieniądz niechybny, rzecz więc praktyczna...
 A przytem jakaż nadzieja śliczna!
 Zyskane łaski możnych kapłanów,
 Wielkie znaczenie u jasnych panów!
 Całe więc tylko teraz zadanie
 By pomysł prędko wszedł w wykonanie.

Więc godnej siebie jął szukać duszy,
 Och! znajdzie, znajdzie dużo i łatwo!

Zna on się dobrze z szatańską działywą,
 Zna ród nieszczęsny faryzeuszy.
 Do nich więc zdąża, pomysł przedstawia,
 I do działania nagli, namawia.

Chciwość a pycha, jednoć to na dnie!
 Więc też ugoda stanęła snadnie.
 Skłoniwszy chętnych oddawna panów,
 Znajdzie i niemniej chętnych kapłanów.
 Ci jednak zrazu stają opornie:
 Że takim czynem rozruch rozszerzą,
 Że święto blisko; nie chcą pozornie,
 Dlatego tylko że mu nie wierzą.
 Pomału idą targi zbrodniarzy,
 Bo też sam szatan chwieje się, waży,
 Gdy już ma kończyć to dzieło swoje
 Sam się, rzecz dziwna! chwieje na dwoje.
 Pragnie on mocno by naród boży,
 Zbrodnią tą straszną sam siebie zabił,
 Lecz nagle jakiś przestрах go trwoży,
 Co w nim na chwilę chęć tę osłabił.
 A ta niepewność dziwna szatana,
 Choć niewidzialna, niezrozumiana,
 Wpływa na dusze jemu posłuszne,
 Takięto silne te prawa duszne!

Więc mówią jeszcze: rzecz to nie mała,
 Toż przy Jezusie gromada cała,
 Są tam mężowie śmiali i zbrojni.
 A zdrajca na to: bądźcie spokojni!
 Wszak ztamtąd idę, spiesząc ku miastu
 Liczyłem, wszystkich jest jedynastu.
 On sam na duchu upadł bezsilnie,
 A oni, znam ich, pierzchną niemylnie.
 Dziś więc lub nigdy, gdy dziś niechcecie
 To już go nigdy nie dostaniecie,

Bo już ja do nich niewrócę więcej,
 Już coś przeczuli, zabić gotowi.
 Czekaścież aż da hasło ludowi
 I zbierze swoich krocie tysięcy,
 I swój królewski rozkaz wam wyda
 Byście go wiedli na tron Dawida.

Znać ich wzruszyła mowa tej treści
 Bo już bez zwłoki zawarto zgodę;
 I dostał zdrajca swoją nagrodę
 Srebrników onych krwawych trzydzieści.
 Wszystkie są w brzegach poprzebijane,
 I na sznureczek ponawlekane,
 Znać by je można nosić za pasem
 Jak pęki kluczy wieszają czasem.

A gdy mu pieniądz ten odliczyli,
 Takim na niego wzrokiem patrzyli,
 Że aż sam zdrajca z duszą tak twardą
 Musiał zapłonąć pod taką wzgardą.
 Więc chcąc w ich oczach ujść za człowieka
 Co za czyn dobry płacy się rzeka,
 Mówi że niechce nagrody zgola
 A wszystko daje na rzecz kościoła.
 Lecz oni na to: uchowaj Boże!
 Kościół ofiary przyjąć nie może,
 Bo to jest cena życia człowieka,
 Grosz to nieczysty, krew po nim ścieka.

I poczuł zdrajca niemy z boleści,
 Ile w tych słowach zgrozy się mieści,
 Ile pogardy słusznej choć dumnej,
 Znać nie obliczył rachmistrz rozumny
 Następstw koniecznych, zbrodni owocy.
 Teraz zapóźno, już jest w ich mocy.
 Tak ich powiązał ciemności wiązę,
 Że już ich nawet śmierć nie rozwiąże!

Poczną więc wspólnie rozważać, radzić,
 Jak przedsięwziętą rzecz poprowadzić.
 Potem zszedł Judasz, bacznie strzeżony
 Do dolnej sali; jest to komnata
 Straży, nie z samych żydów złożonej,
 Są to przybysze z różnych stron świata.
 Śród nich dwudziestu wybrał żołnierzy,
 Lecz wprzody radby, mówi zobaczyć,
 Czy Jezus jeszcze jest przy wieczerzy,
 Bo dom łatwoby było osaczyć,
 Rzeczby skończono bez straty czasu,
 Bez żadnej trwogi i bez hałasu.
 Puszczejają zdrajcę, lecz nie ufają,
 Więc mu do boku służę dodają.

Już przy dawaniu onych srebrników
 Faryzej jeden wyszedł nieznacznie
 I zlecił siedmiu śród niewolników,
 By krzyż był gotów nim świtać zacznie.
 Powraca Judasz, „wiem gdzie jest — woła —
 Znajdziem go teraz w oliwnym sadzie,
 Ale w niewielkiej idźmy gromadzie
 Bo mają pewnie straże do koła;
 Gdy ujrzą wielu, wnet rozruch zaczną,
 A w Ofel znajdą podporę znaczną;
 W tej części miasta gdzie ludu mnóstwo,
 Całe za sobą mają ubóstwo.
 Więc znaczny oddział w Ofel zostawić,
 Osadzić wszystkie ulice, bramy,
 A do Sionu czaty rozstawić
 By pomoc przysła gdy zażądamy.“
 Jeszcze im zdrajca radzi usilnie
 Związać Jezusa i baczyć pilnie,
 By, jak bywało, nie zniknął w tłumie,
 Bo niewidzialnym stawać się umie.

Oni wzgardliwie mierząc Judasza:
 Nie troszcz się, mówią, to już rzecz nasza.

Gdy już się zbrojną otoczył zgrają,
 Naucza zdrajca jak czynić mają:
 „Ja wejdę w ogród, wy zaś przez chwilę
 Pozostaniecie w ukryciu, w tyle;
 Wejdę jak gdybym wracał do grona,
 I jako zwykle czynią uczniowie,
 Pocałowaniem mistrza pozdrowię,
 Wtedy wpadniecie i rzecz skończona.“

Takie zlecenie podaje zgrai
 W myśli, że swoją zbrodnię utai,
 Że samotnego widząc uczniowie
 Ani pomyśla o żadnej zmowie,
 A gdy uciekną w onej godzinie,
 On z nimi razem, i ślad zaginie.
 Takie mu rozum czyni nadzieje,
 Lecz rozum mają i faryzeje.

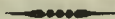
Na wszystko niby przystają zgodnie,
 Bo jeszcze chwilę ulegać muszą,
 Bowiem od niego jeszcze zawisną,
 Aż gdy do końca dopełni zbrodnię,
 Gdy wszystkie z niego zyski wyduszą,
 Wtedy go zdepcą i w śmiecie cisną.
 Kto czem wojuje od tego zginie,
 I zdrajcy nigdy zdrada nie minie.

Więc też żołnierzom zlecono z boku
 Mieć nieustannie zdrajcę na oku,
 By mu się w drodze uciec nie chciało,
 Gdy już zapłatę otrzymał całą.

I wyszli, idą, Judasz na przedzie
 Dwudziestu z sobą żołnierzy wiedzie.

Strój tych od rzymskich nie wiele różny,
 Też same hełmy, pancerze, zbroje,
 Krok ich złodziejski, koci, ostrożny,
 Znać nie do boju lecz na rozboje.
 Za tą gromadą w pewnym odstępie
 Sunie się czterech strasznej postaci,
 Lica ich śniade, spojrzenia sępie,
 Poznać od razu to zbiry, kaci,
 Za zbroję mają powróż, łańcuchy,
 A sam ich widok wstrętem przenika;
 Ach! są to w zbrodniach stwardniałe duchy!
 Za nimi sześciu pochód zamyka:
 Jeden xiądz, prawa ręka Annasza,
 Drugi poufnik od Kaifasza,
 Dwoch faryzejów, dwoch herodyanów,
 Sługi i szpiegi arcykapłanów.

Żołnierze w całym onym pochodzie
 Trwali w udanej z Judaszem zgodzie,
 Aż kiedy doszli do onej drogi
 Między oliwną a Gethsemani,
 Gdy Judasz kazał wstrzymać się na niej
 A sam chciał naprzód, wszczął się spór srogi,
 Żądanie jego odparli wzgardą
 A z nim poczęli ostro i hardo.



III.

POJMANIE.

„Ho! ho! koleżko! znamy cię, znamy!”
Dzierząc Judasza zgraja wykrzyka,
Nie z nami sztuka, umknąć nie damy
Aż nam dostawisz Galilejczyka.

Gdy tak żołdactwo swarzy się z łotrem,
Na teje drodze, w tej chwili właśnie,
Jezus z Jakóblem, Janem i Piotrem
Staął w pobliżu; słysząc te właśnie
Piotr woła: Mistrzu! nasi tuż, zbierzmy,
Zbierzmy się wszyscy wnet i uderzmy.
Lecz Pan z dobrocią Piotra łagodzi
A sam ku zgrai bliżej podchodzi,
I mówi głosem co wskroś przenika:
„Kogo szukacie w takiej ustroni?”
„Jezusa — rzekną — Nazarejczyka.”
Więc Pan im na to: „Jam jest” — a oni
Jakby gromowe zgmiotło ich brzemię,
Z mieczami swymi padli na ziemię.

Judasz w pobliżu stoi struchlały,
 Błady z przestachu i drżący cały.
 Patrząc na niego rzekł Pan łagodnie :
 „A ty co robisz tu, przyjacielu ? “
 Lecz zdrajca zamiast wyznać swą zbrodnię
 Począł coś kłamać o czystym celu,
 I że nie wie o zмовach żadnych,
 I sam się zdradza w słowach bezładnych.

Tymczasem tamci z ziemi powstali,
 Drżący w milczeniu stoją w oddali :

I znów głos pański ciszę przenika :
 „Kogo szukacie ? “ pyta raz wtóry ;
 I znów zaszumiał okrzyk ponury :
 „Jezusa, rodem Nazarejczyka.“
 A Pan im na to jaknajspokojniej :
 „Już wam mówiłem, jam jest “ — odpowie,
 A taka siła była w tem słowie
 Że znowu oni mężowie zbrojni
 Padli na ziemię zwaleni strachem,
 Jak trawa jednym kosi zamachem.
 I rzekł im Jezus : „wstańcie “ — więc wstali
 I znowu milcząc stoją w oddali.
 A połączeni uczniowie pańscy,
 Bo na krzyk wbiegli i gethsemańscy,
 Przejęci zgrozą na widok zdrajcy,
 Rzucą się gniewnie ku winowajcy ;
 I z oburzeniem dzierząc Judasza
 Każdy mu wyrok śmierci ogłasza ;
 Ale go zbiry wyrwą z ich ręki
 Na gorszy koniec, na sroższe męki.
 A wybawiwszy sami go duszą
 O hasło, o znak, który mieć muszą,
 Gdyż bez danego znaku, całusa,
 Nie wolno im jest imać Jezusa.

Więc szedł ku Panu łotr niewzruszony
 I mówił „Mistrzu, bądź pozdrowiony!“
 I zapredany sługa szatana
 Śmiał ucałować oblicze Pana!..
 A on, co głębie serc wszystkich czyta,
 Któremu cała przyszłość odkryta,
 Rzekł mu z serdecznem politowaniem:
 „Judaszu, zdradzasz pocałowaniem!“
 Za danym znakiem orszak żołnierzy
 Znowu ku Panu postąpił bliżej,
 A zbiry, owi służalcy piekła,
 Rwą się ku Panu jak psiarnia wćiekła.
 Widząc bezczelność owych siepaczy
 Uczniowie pańscy pełni rozpaczy
 Poczną o krwawej myśląc odsieczy,
 Gwałt odbić gwałtem, miecz siłą mieczy.
 „Mistrzu! wołają, pozwól, uderzym,
 Ich własną miarą my im odmierzym.“
 I Piotr niepomny na zakaz pański
 Z dobytym mieczem staje na czele,
 I już jednego na ziemię ściele;
 A był to Malchus, sługa kapłański.
 Więc wrzawa straszna, krew o krew woła,
 Więc nagie miecze błysły do koła.

Lecz przez tę wrzawę, przez gwar ponury,
 Wzbił się głos jasny, pogodny, czysty,
 Jako wspaniałe słońce przez chmury,
 Głos to jest pański, głos wiekuisty!

„Kto mieczem walczy od miecza ginie,
 Schowaj miecz Piotrze! wszak w tej godzinie
 Gdybym poprosił ojca na niebie,
 Krocie aniołów miałbym w potrzebie.
 Lecz mamże ojca oprzeć się woli?
 Odrzucić kielich że pełen boli?

A jakżeż pismo spełni się święte,
Gdzie każde słowo jest niecofnięte!“

To powiedziawszy prosi żołnierzy
By go podwiedli gdzie Malchus leży.
Więc się nad rannym modlił przez chwilę
A potem z lekka dotknął się rany,
I wnet ów powstał o własnej sile,
A cios ni śladu gdzie był zadany.
Na taki widok faryzeusze
Poczną znów bluźnić nieszczęśne dusze:
„Wszystko to czyni z diablej nauki,
Sam zmyślił ranę, znamy te sztuki.“

I rzekł im Jezus: „Przez dni tak wiele,
Uczyłem jawnie, głośno w kościele,
A nikt z was na mnie nie podniósł dłoni;
A oto teraz w skrytej pogoni
Śród głuchej nocy, zbrojno i tłumnie
Jak na złoczyńcę idziecie ku mnie.
Bo przyszła, przyszła już wasza chwila,
Potęga złego już się przesila.“

Więc znów zawrzała służba szatana,
I znów się zbiry rzucają jak wściekli
I powrozami krępują Pana
A ucnie trwogą zdjęci uciekli.

Z śmiechem piekielnym, z przekleństwem hałasem
Oprawcy Pana ścisnęli pasem,
I ręce Panu silnie związali,
Do pasa łykiem poprzytwierdzali,
Na szyję Panu włożyły katy
Obrożę, powróż twardy, kolczaty,
Ztąd dwa rzemienie na krzyż złożone,
Jak stula na pierś Panu wtłoczone,

Wiążą do pasa, za którym cztery
 Długie powrozy wiszą; to wodze
 Któreimi Pana wieść mają zbiry
 Wedle zachcenia swego, po drodze.

Pozapalawszy więcej pochodni
 Ruszyli w pochód synowie zbrodni.
 Dziesięciu zbrojnych idzie na przedzie,
 W ślad czterech zbirów Jezusa wiedzie,
 Za tymi niemniej kamienne dusze,
 Szpiegi, służalce, faryzeusze,
 Nareszcie cały ten tłum zbrodniarzy
 Zamyka druga połowa straży.
 W dali po stronach, trwożni, żalobni,
 Mkną ucnie pańscy ceniom podobni,
 Jan tylko jeden jak może bliżej,
 Mimo zamachów i groźb żołnierzy.

A zbiry męczą Pana jak mogą,
 I rozkoszują sobie w tych mękach!
 To go umyślnie tak ciągną drogą
 By przez zwir ostry szedł bosą nogą,
 To w błoto, w wodę, w dół, to do góry,
 Szarpia powrozem, a inne sznury
 W węzły związane, trzymają w rękach
 I pędzą nimi Pana, jak w jatki
 Pędzą rzeźnicy jagniąt gromadki.
 Wszystko to z krzykiem obelg bezczelnych,
 Dowcipów podłych, szyderstw piekielnych.
 A wiedzie łotrów do tych katuszy
 Nietylko popęd spodłonej duszy,
 Lecz że są pewni, że taką drogą
 Łask faryzejów dostąpić mogą.

Pospiesznie rusza orszak złowrogi
 Bo święto blisko, więc zesli z drogi

W prawo, zdążają wprost do Sionu
Na most łączący brzegi Cedronu.

Wściekłość oprawców ciągle zwiększana
Gdy na most weszli doszła do szczytu,
Tam z góry w wodę zrzucają Pana
W łożysko pełne złomów granitu.
Lecz granit przyjął pańskie dotknięcie
Jak воск, i ślady zachował święcie
Na dowód wiekom, że głazów łona
Czulszemi były od serc tych ludzi!
Że nawet w głazach współczucie budzi
Prześladowana prawda wcielona!

Śród przekleństw, śmiechów, znowu do góry
Ciagną Jezusa na brzeg za sznury;
Lecz pełna wody szata welniana
Lepiąc się do nóg zwalnia krok Pana,
Więc go smagają, nagląc do biegu
Aż padł na ziemię na drugim brzegu.
Toż znowu poczną targać sznurami,
Bić postronkami, lżyć obelgami,
I szaty pańskiej końce ujeli
Szydząc nikczemnie w pas mu zatknęli,
I ciągną dalej, bacząc śród drogi
By ciągle bosc kaleczył nogi.
A faryzeje jak kruki krążą
I co sił starczy za Panem dążą,
Bijąc kijami i koląc Pana
Dowcipy sypie ten ród szatana.
Więc widząc jak jest wiedzion Zbawiciel,
Że musi ciągle kaleczyć nogi,
„Poprzednik jego, syczą, Jan Chrzciciel,
Jakoś nietęgo sporządził drogi.
A to co prorok Malachiasz woła:
Wyślę przed tobą mego anioła.

Co wszystkie tobie drogi sprostuje,
 Pewnie nie do tych miejsc się stosuje. “
 A każdy taki dowcip piekielny
 Obudza w zbirach okrzyk weselny
 I podnieceni tą wesołością
 Z nową na Pana biją wściekłością;
 Pędzą i pędzą, aż się spostrzegą
 Że jacyś ludzie za nimi biegną.
 Ucznie to pańscy co na głos trwogi
 Jawią się nagle po stronach drogi.
 Widząc biegnących zbójce zdrzały
 Toż poczną wołać, dawać sygnały,
 Aż oto w dali błysły pochodnie,
 Więc już bezpieczni ciągną swobodnie.
 Z ofelskiej bramy wskok ku nim bieży
 Z głośnym okrzykiem oddział żołnierzy.
 Łączą się hucznie, zwycięstwo głoszą,
 I tryumfalne okrzyki wznoszą.
 Uczniowie pańscy gdy to spostrzegli
 Znów się na strony wszyscy rozbiegli.

Mieszkańcy Ofel po dziennym trudzie
 Spią już oddawna, poczciwi ludzie,
 Ciesze to, tracze, i woziwody,
 Lud ciężkiej pracy, lichej nagrody.
 Spi snem spokojnym one biedactwo,
 Ale ich ze snu budzi żołdactwo.
 Słyszając tę wrzawę co tchu powstają,
 Co się to znaczy, trwożnie pytają.
 Lecz wojsko groźnie wszystkich rozgania
 I na ulicę wychodzić wzbrania,
 I szyszac woła: „To wasz dobrodziej,
 Wszak ukochany prorok nadchodzi,
 Będzie on teraz prawil z wysoka,
 Bo na krzyż wbiją tego proroka.“
 Słyszając te słowa ona hołota

Jękla boleścią wielką, niezmierną ;
 Bo prawdę mówił Judasz niecnota ,
 Że Jezus tutaj ma przyjaźń wierną ,
 Bo czas niemały przebył z tym ludem,
 Niemałym z nimi pracował trudem ,
 Niemało chorych i kalek zbawił
 I dusz niemało ku Bogu sprawił.

Widząc tę boleść żołdacka zgraja
 Tembardziej swoją srogość podwaja
 I powtarzając potwarze dawne :
 Otoż, wołają, dowody jawne,
 Jak ten buntownik pospólstwo burzy,
 Słusznie że tego nie cierpią dłużej.
 I już ze złością dzikiego zwierza
 Żołdak zuchwale w tłumy uderza,
 Tem odważniejszy, że na bezprawia
 Lud ten oporu wcale nie stawia,
 Lecz tylko cały w bólu, w żałobie,
 Dobroć Jezusa wspomina sobie.

W tej właśnie chwili, złością pijana,
 Nadciąga zgraja wiodąca Pana ;
 A Jezus zбитy, pokaleczony,
 Upadł jak martwy cały zboczony.
 Aż żołnierz jakiś z sercem człowieczem :
 „Rozwiążcież, woła, przynajmniej dłonie,
 By mógł w upadku zasłaniać skronie ,
 Bo tak to tylko trupa dowleczem.“
 A w tejże chwili drugi z żołnierzy
 Skoczył i wody naczepał świeżej,
 I do ust spiekłych Panu przyłożył.
 Jezus zawarte oczy otworzył
 I na dwa one serca litośne
 Rzucił spojrzenie swoje miłośne,
 I przyrzekł obu zapłaty swoje :
 Za kubek wody zbawienia zdroje ,

Za słowo z serca, słowo żywota,
Klucz co niebieskie otwiera wrota.

A piekło słyszy, piekło się śmieje,
Za piekłem kłamią śmiech faryzeje,
A faryzejom z podłym pośpiechem
Oprawcy wtórzą kłamanym śmiechem.

A śmiech ten straszny, co Bogu przeczy,
Co prawdę głuszy, duszę kaleczy,
Straszniejszy niżli morowe technienie,
Szerzący zgniłość, ducha spodlenie,
Rozgrzmiał po świecie, wieki przebiega,
Do dziś się jeszcze, do dziś rozlega!

Toż z głębi duszy wznosim wołanie:
Oddal już od nas śmiech ten o Panie!

Niech takim śmiechem co piekłem zięje,
Żadna się polska dusza nie śmieje!

Ach! bo w tym jednym śmiechu się mieści
Cała przyczyna naszych boleści!

Z tego to śmiechu jakby ze źródła
Cała się nasza niemoc wywiodła!

Ziarna klęsk wszystkich w nim się zawarły:
Jad co olbrzymów zamienił w karły,

Noże Kaimów i grosz Judasza,
Cała, tak! cała niedola nasza!

I znów ruszono dalej po chwili,

A gdy w ofelską bramę wchodzili,
Choć odtrącany wciąż przez siepaczy,

Lud biedny biegnie pełen rozpaczy,

A gdy Jezusa ujrzy z daleka,

Wdzięczne ku niemu wyciąga dłonie,

Woła i jęczy i we łzach tonie:

„Puśćcie nam, puśćcie tego człowieka!

Toć to jedyna nasza opieka!

Ktoż nam z pociechą jak on przybędzie?

Ktoż nas ratować i wspierać będzie?

Kto nam przyniesie ulgę, podporę?
 Kto wzmocni słabe, wyleczy chorę? "
 I proszą katów, proszą serdecznie.

Ach! jest to obraz taki, że wiecznie,
 Wiecznie powinien świecić nam w duszy,
 Bo w nim jest siła co wszystko kruszy!

Jezus, ów mocarz, ów Pan mocarzy,
 Jakby bezsilny w rękach zbrodniarzy,
 Zbity, zszeczony, cały krwią zlany,
 Zewsząd krzywdzony, zewsząd szarpany,
 Ciągnion powrozem, związany w łyka
 Jak biedne bydłę w rękach rzeźnika!

A ci widzący Pana nad Pany
 W postaci ludzkiej istne szatany,
 Te najpodlejsze wyrzutki, śmiecie,
 Oni... w tryumfie! znaczą na świecie...

Tuż faryzeje, te dzieci zbrodni,
 Pod świętą szatą niemniej wyrodni
 I z duszą niemniej od zbirów twardą,
 Stąpają dumnie, patrzą z pogardą!

A onoż w koło ciemne robactwo
 Narzędzia katów, podłe żołdactwo,
 Ach! i ta nędza z piętnem Kaima
 I ta się także puszy, nadyma!...

Zbrodniarze huczni i pełni pychy
 A Pan nad Pany korny i cichy!

Tylko prostactwo, jak Pan zbiedzone,
 Jak Pan zdeptane, jak Pan wzgardzone,
 Wznosi ku niemu dłonie, te dłonie,
 Których on właśnie niemoc ukrócił,
 I wzrok ich w jego obliczu tonie,
 Wzrok co gdy zagaśł, Pan go ocucił;
 I głos podnoszą w jego obronie,
 Głos co był zniknął, Pan go przywrócił!

Daremne prośby, próżne błaganie,
Ktoż kiedy zbira wzruszyć był w stanie!

Z ofelskich wzgórzy orszak się spuszcza
Na doł, w ulicę, obok Betsedy;
Po drodze jakieś podłe czeredy,
Jakaś beieczna, bezbożna tłuszcza
Z piekielnym krzykiem zewsząd nadbiega
I bluźni Panu, zbirów podżega.
I ciągną razem, ku zachodowi,
Potem znów w górę ku Sionowi
Aż nagle okrzyk huczny ogłasza,
Że są u kresu w domu Annasza.



IV.

ZABIEGI WROGÓW.

Już uprzedzono arcykapłany,
Że cel dopięty, Jezus pojmany.
Toż Sion cały, jakby w pożarze,
Rzęsistem światłem pałace płoną,
Do koła czaty, w przedsionkach straże;
Do miasta bieży, posłańców grono
Po członków rady, żeby przybyli
Na sąd, co ma się odbyć w tej chwili.
Biegną też gońce do faryzejów,
Do Herodyanów i Saducejów,
Do ludzi słynnych złością ku Panu,
Wszelakiej sekty, wszelkiego stanu,
By za pomocą środków wszelakich
Przywiedli świadków wiadomo jakich.
A właśnie święta te wielkanocne
Ku temu dziełu wielce pomocne,
Bo wszyscy pańscy nieprzyjaciele
Zbiegli się zewsząd, a jest ich wiele,
A każdy złością tem sroższą płonie,
Im dłużej skrycie karmił ją w łonie.

Więc podnieceni takim rozkazem
 Nie szcędzą starań, trudów, pieniędzy,
 By zyskać świadków dużo czempredzej,
 I mają dosyć, i ciągną razem.
 A zgraja ona co krok urasta,
 Bo coraz nowi płyną z okola,
 Oto gromada przekupniów z miasta,
 Których Zbawiciel wygnał z kościoła;
 Oto krzykaczy éma zła i pusta,
 Którym Pan prawdą zamykał usta;
 Oto świętoszki a pełni brudu,
 Z których zdarł maskę w obliczu ludu.
 Tam, chorzy których musiał zostawić,
 Kiedy nie chcieli życia poprawić,
 Lub wyleczeni, co łamiąc słowo,
 Grzesząc jak wprzody, chorzy na nowo.
 Tam znów pyszałki chcące górować,
 Których za uczniów nie chciał przyjmować.
 Tamci na spadek czekali skrycie
 A spadkodawcom Pan wrócił życie,
 Lub sprawił że te grosze czekane
 Między ubóstwo były rozdane.
 Tu tłum rozpustnych, cudzołożników,
 Od których odwiódł dawnych spółników.
 Zgoła brud wszelki, wszelkie bezdroże,
 Co światła prawdy cierpieć nie może,
 Wszystko to teraz łącząc się w czynie
 Wezbraną rzeką na Sion płynie,
 Szumiąc i wyjąc, pieni się, wścieka;
 Pilno im zabić tego człowieka,
 Bo straszne k' niemu żywią urazy,
 Bo sprawiedliwy! czysty bez zmayı!
 A gdy złość wszelka czynna i w ruchu,
 Tymczasem dobrzy, lecz słabi w duchu,
 Mileżą i prawdy bronić nie śmieją,
 Gorszą się, ziębną i w myślach chwieją.

Niby chcą działać lecz strach je bierze,
 I coraz bardziej słabiej w wierze.
 Ach! mało tylko, okropnie mało,
 Do końca, stale, w wierze wytrwało.

Stało się wówczas co się dziś dzieje
 Kiedy przeciwny wicher zawieje.
 Każdy się mieni chrześcianinem,
 Póki ten tytuł nie ściąga burzy,
 Póki nie trzeba stwierdzać go czynem,
 Póki ofiary żąda niedużej
 A pozostawia w ciszy i w domu,
 Ale gdy nazwie grozi cios gromu,
 I już nie mówię krzyż, czy morderstwo,
 Lecz tylko wzgarda albo szyderstwo,
 Chowamy sztandar święty w pośpiechu,
 Przez strach nie śmierci, nie! tylko śmiechu!
 Stało się wówczas co się dziś dzieje,
 Gdy piekło światem i duszą chwieje,
 Gdy w koło wszędzie tylko pokusa
 Albo zgorzenie i ból serdeczny;
 Coż czynią dzisiaj sługi Chrystusa
 Albo ów krzyża żołnierz odwieczny,
 Co duszę, życie, przyjął z tym znakiem?
 Czy pomnie jeszcze rycerz słoneczny,
 Że kto nie z krzyżem, nie jest Polakiem?
 Czy wzgardził mężnie pokus bezmiarem?
 Czy wszystkie siły duszy wyteża,
 By stanąć pod tym świętym sztandarem
 Jednym, jedynym który zwycięża!
 Czy odział duszę tą krzyża zbroją
 Jedyną, jakiej piekła się boją?
 Czy stanął godnie do tych zapasów?
 Czy złożył w krzyżu wszystkie nadzieje?...
 Ach! wracam, wracam do owych czasów,
 Działo się, mówię, jak się dziś dzieje.

ACRYSCA

V.

J E R U Z A L E M.

We śnie spoczywa Jerozolima,
We śnie przybyłych gości namioty
Co w krąg jak tylko sięgniesz oczyma
Objęły miasto białymi sploty;
Lecz ten sen błogi z powiek im spłazza
Ów tłum posłańców od Kaifasza.
I wnet po różnych dzielnicach miasta
Spoczynek znika a hałas wzrasta.
W ciszy co wszystko w koło zalega,
Najlżejszy szelest głośno dobiega.
Tam do drzwi biją, słyhać stukanie,
To niezawodnie na sąd wezwanie,
Już otwierają, słyhać jak gwarzą,
Wezwani szybko dążą gdzie każą.
Tam znów rozlega dalekiem echem
Szczęk zamykanych zamków z pośpiechem,
I skrzypią wrota mocniej podparte,
Albo zapory silniej zawarte,

Bo w takiej porze, w chwili nieładu
 Są co się boją zdrady, napadu.
 Gdzieniegdzie z okien pootwieranych
 Słychać ułamki rozmów przerwanych.
 Tam się radują: „Aha! nareszcie
 Będziem mieć przecie spokojność w-mieście.
 Nie dadzą temu fanatykowi
 Zawracać dłużej głowy ludowi.
 Co poczną teraz jego uczniowie?
 Owi mędrkowie, owi panowie
 Co tak litośnie na nas patrzali
 Żeśmy ich zasad niepodzielali.
 Co poczną teraz, rzecz to ciekawa,
 Bo to jak widać nie lekka sprawa.
 Dziś nikt mu pewnie w pośrodku drogi
 Nie rzuci płaszcza ni palm pod nogi.“
 Głos taki licznie słychać po mieście
 Są tu i męzkie, są i niewieście
 Płonące złością, gniewem zawziętym,
 Szczególnie przeciw niewiastom świętym.
 Gdzieniegdzie słychać pocziwsze słowa,
 Gdzieniegdzie łkaniem przerwana mowa,
 Gdzieniegdzie skargę szepcą żalowaną,
 Lecz rzadko który ozwie się głośno,
 Rzadko głos taki co się odważy
 Potępić głośno dzieło zbrodniarzy,
 I z potępionym wyznać zażyłość,
 Objawić winną cześć mu i miłość.

Nie całe jednak miasto zbudzono,
 Jeszcze część większa we śnie spoczywa,
 Tam tylko wrzawa gdzie przyniesiono
 Rozkaz kapłański co na sąd wzywa,
 Lub tam gdzie wrogi krwi pańskiej chciwe
 Zbierają swoje świadki fałszywe,

Gdy miasto z góry obejmiesz wzrokiem,
 Zda się że w nocnej ciemnej pomroce
 Iskra za iskrą goni, migoce,
 I już ognistym płyną potokiem;
 A potok rośnie, wzmacnia się, szerzy,
 Ku Sionowi płomieniem bieży.
 Iskry to zemsty i nienawiści
 Z dawna sycone w piekiel podmuchach,
 Długo żywione w spodlonych duchach,
 Których pragnienie wkrótce się ziści.

Żołnierze rzymscy szyki zdwoili,
 Straże pod bronią, czaty wzmocnili,
 Lecz się z żydami nie łączą wcale,
 Patrzą w milczeniu, niby niedbale,
 Lecz wszędzie jak sęp nad pastwą wiszą
 I wszystko widzą i wszystko słyszą,
 A za skinieniem ledwie widomem
 Spadną z nienacka, bez grzmotu — z gromem.
 Tak zwykli czynić na święta wszelkie
 Szczególnie jednak na wielkanocne,
 Gdyż zewsząd rzesze spływają wielkie,
 Wzniosłe modlitwą wspólną, więc mocne.

Arcykapłani nieomieszkali
 Donieść Rzymianom co przedsiębrali
 I na co swoją kościelną strażą
 Ofel i Sion osadzić każą.
 Lecz obie strony za każdym krokiem
 Patrzą na siebie badawczym wzrokiem,
 Bo pod grzeczności maską tajemną
 Nieufność k' sobie kryją wzajemną.

Piłat więc nie spi, czuwa starannie,
 Posyłki wszędzie śle bezustannie,

Wszędzie jest duchem , rzekłbys że skrycie
 Każdego serca przemierza bicie ,
 Gdy które żywiej drgnąć się pokusi ,
 Wnet spuści szpony , ściśnie i zdusi ,
 Lub młode skrzydło złamie orłociu ,
 By już nie śniło o wniebowzięciu .
 Małżonka jego spi , ale we śnie ,
 Rzuca się , wzdycha , jęczy boleśnie ,
 Znać że sen ciężki co pierś jej tłoczy
 Straszne obrazy stawia przed oczy .

W Ofelu smutek , boleść niezmierna .
 Biedna ta ludu gromadka wierna
 Patrzała z sercem pełnem rozpaczy
 Na mękę Pana w rękach siepaczy ;
 A teraz patrzy na boleść matki ,
 Co wyteżając sił swych ostatki
 Sili się zdążyć za śladem syna .
 W koło niej świętych niewiast drużyna .
 Czyżżeż bo serce lżą nie zapłynie
 Na widok Maryi w onej godzinie !
 Orszak ten niewiast nieraz po drodze ,
 Gdy wszędzie jeszcze pusto i ciemno ,
 Nieraz się musi ukrywać w trwodze
 Przed przechodzącą zgrają nikczemną .
 Tam ktoś im z dala obelgi ciska ,
 Lub dowcip podły i pośmiewiska .
 Tam znowu okrzyk słyszą weselny
 A dla nich pełen męki śmiertelnej ,
 Bo jest to okrzyk służby szatańskiej ,
 Co się raduje ze śmierci pańskiej .
 A gdy znękane do domu wrócą ,
 Tam się w boleści na klęczki rzuca ,
 Modlą się we łzach , w strasznej żałobie ,
 To znów jak dziatki tulą się k' sobie ,

W ciągłej obawie czekają wieści,
 Słuchając rychło co zaszeleści.
 I ot — ktoś puka, cicho, nieśmiele,
 Nie tak stukają nieprzyjaciele,
 Więc otwierają, a z każdą wieścią
 Serce się nową kraje boleścią.
 I znów nie mogą wytrwać w pokoju
 Znów idą w miasto, aż pełne znoju,
 Znowu do domu powracać muszą
 Z bolem co miota sercem i duszą.

Większa część uczniów w onych godzinach
 Po okolicznych błędzi dolinach,
 Albo się kryje w pieczarach ciemnych,
 W oliwnej góry grotach tajemnych.
 Jeśli się z sobą zetkną, to z drzeniem,
 Jeśli zaszepeją, kończą skinieniem;
 A lada szelest, lada stuknienie,
 Nikną jak sennych widziadeł cienie.
 Trwożni, a jednak ciągle są w ruchu,
 Wciąż ich przepędza niepokój w duchu.
 Niektórzy weszli na szczyty góry
 By ujrzeć lepiej siońskie mury;
 Śledzą pochodnie, co ciemną nocą
 Na tle ponurem krwawo migocą;
 Patrzą i patrzą w milczeniu głuchem,
 Każdy szmer chciwem chwytają uchem,
 I znów po chwili zehodzą w doliny,
 By tam pewniejsze powziąć nowiny.

A na Sionie przy sądnej sali
 Coraz to więcej światła się pali,
 Coraz ruch większy i hałas wzrasta,
 Bo mnogie tłumy płyną tu z miasta.

Do koła słyhać jęki litośne
 Biednych jagniątek; skargi żałośne
 Mnóstwa baranków, które z okoła
 Pielgrzymi wiodą tu do kościoła.
 A w onym płaczu jagniątek tyła,
 Przeczuwających że lada chwila
 Śmiercią męczeńską umierać muszą,
 Jest coś co wstrząsa sercem i duszą,
 I dziwnie, dziwnie smuci i boli.
 Lecz jest baranek jeden, bez zmazы,
 I od najświętszych świętszy sto razy,
 Co idzie na śmierć sam, z własnej woli,
 Sam krew swą niesie do stóp ołtarzy,
 Krew, co zbawieniem świąty obdarzy;
 Ten jeden milczy, ten się nie skarży,
 A jeśli jęknie zdjęty żalobą,
 To nad katami a nie nad sobą.

Całą tę miasta smutną widownię,
 Całą tę duchów czarnych pracownię,
 Objęło niebo jak namiot jaki,
 Tajemczemi pokryte znaki.
 Xiężyc wypłynął, lecz chmurny, blady,
 Plamy ma w twarzy niby krwi ślady,
 I dziwnie drżący jak gdyby z trwogi,
 Jakby się wzdragał kończyć swej drogi;
 Znać tajemnica mu objawiona,
 Że gdy do pełni dojdzie, Pan skona.

Tam po za miastem, po gór urwiskach,
 Po gruzach, ściekach, miejskich śmieciakach,
 Przebiega Judasz, dziki, szalony,
 Straszny, gromadą czartów pędzony.
 Piekło w potędze całej wybucha,
 Szatańskie sfory zdjęte z łańcucha

Ku czarnym duszom tłumami lecą,
 Budzą je, nagłą, i wściekłość niecą,
 I cała owa piekielna branka
 Spieszy głosować na śmierć baranka.

Na niebie, w chórach aniołów pańskich
 Boleść na widok tych spraw szatańskich,
 Boleść, lecz razem i radość wielka,
 Bo dla nich tajnia odkryta wszelka,
 Więc w czci najgłębszej tylko się korzą
 Przed miłosierdziem i wolą bożą.



1. W tym miejscu...
 2. ...
 3. ...
 4. ...
 5. ...
 6. ...
 7. ...
 8. ...
 9. ...
 10. ...
 11. ...
 12. ...
 13. ...
 14. ...
 15. ...
 16. ...
 17. ...
 18. ...
 19. ...
 20. ...

21. ...
 22. ...
 23. ...
 24. ...
 25. ...
 26. ...
 27. ...
 28. ...
 29. ...
 30. ...
 31. ...
 32. ...
 33. ...
 34. ...
 35. ...
 36. ...
 37. ...
 38. ...
 39. ...
 40. ...

41. ...
 42. ...
 43. ...
 44. ...
 45. ...
 46. ...
 47. ...
 48. ...
 49. ...
 50. ...
 51. ...
 52. ...
 53. ...
 54. ...
 55. ...
 56. ...
 57. ...
 58. ...
 59. ...
 60. ...

VI.

A N N A S Z.

Północ dochodzi; w obszernej sali
Już się wezwani rajcy zebrali,
Stróże całości nauk kościoła;
Dwudziestu ośmiu siadło w pół koła.
Śród nich na miejscu nieco wzniesionem
Wprost drzwi wchodowych, nad całym gronem,
Annasz góruje stopniem i tonem.
Dalszą część sali gwarnie i szumnie
Czerń pełna złości zalega tłumnie,
Żołnierstwo, słudzy arcykapłańscy
Wszyscy zacięci wrogowie pańscy.

W środku przy stopniach, blade, znękany,
Ciągłe sznurami zbirów targany,
Spokojny, rzewny, z głową zwieszoną
Na pierś odkrytą i zakrwawioną
Stoi Zbawiciel milczący, cichy.

Annasz w nim utkwił wzrok pełen pychy

Płonący złością jadem zaprawną,
 Bo w sercu żywi nienawiść dawną.
 Starzec to z rzadkim u brody włosem,
 Zawiedły, suchy, z szyderczym głosem.
 Kiedy Jezusa przed nim stawiono
 Przybrał obłudnik postać zdziwioną,
 Jakby to nie on wysłał siepaczy,
 Jakby nie wiedział kogo zobaczy,
 I kłamiąc podziw w ciągu swej mowy,
 Zarzuca Pana tłumem słowa:
 „Tyż to Jezusie Nazareńczyku!
 A gdzież to twoich wyznawców roje?
 Gdzie uczniowie twoi? chwalczy bez liku?
 Gdzież owo sławne królestwo twoje?
 Ponoś nie poszło jak zamysłałeś,
 Dosyć już, widać obraży bożej,
 Dosyć już świętych praw nałamałeś,
 To też się temu kres dziś połóż.
 Gdzie uczniowie twoi? jacy? jak wielu?
 Mów buntownik! mów zwodzicielu!
 Coż? milczysz! milczysz! no! mówże szczerze,
 Jako odbyłeś świętą wieczerzę?
 Gdzie? w jakim czasie? jaką ustawą?
 Uczysz! ha! mistrzu, kto ci dał prawo?
 Gdzie się uczyłeś tego co głosisz?
 Objaw naukę którą przynosisz!“

Na pytań tyle, na taką mowę,
 Zbawiciel podniósł strudzoną głowę
 I patrząc w oczy sędziemu złemu:
 „Jam, rzecze, uczył zawsze publicznie,
 Otwarcie, jawnie światu całemu,
 W miejscach gdzie naród zbiera się licznie,
 W szkołach, bożnicach, w murach kościoła,
 Nigdy w skrytości nic nie czyniłem,

Pocoż mię pytasz? pytaj do koła,
Ci wiedzą dobrze czego uczyłem.“

Annasz ze złości pobladł jak chusta,
Co widząc siepacz, podły najemnik,
Niby to gniewem zdjęty, nikczemnik,
Bije Jezusa kilkakroć w usta
I w oburzeniu zmyślonym woła:
„Tak to śmiesz mówić xięciu kościoła!“
A czerń w ślad za nim; sądna komnata
Zmieniona w istną pracownię kata.

Bity, targany zewsząd okropnie
Upadł Zbawiciel na schodów stopnie,
I wytrysnęła krew przenajświętsza!
Lecz wściekłość tłumu coraz zaciętsza.
Gdy bezsilnego podnieśli z ziemi,
Znów go katują męki nowemi,
A on z tą świętą pogodą w słowie,
Której słodczy nikt nie wypowie,
Nie o ból wielki co mu czyniono,
Lecz się o prawdę ujął skrzywdzoną:
„Za co mię bijesz gdy prawdę mówię?“

Spokojem takim tknięty do żywa
Annasz obecnych do zeznań wzywa,
Jak tego żądał sam oskarżony.
Dopieroż powstał hałas szalony,
Wrzaski, wołania, krzyk, zawierucha
Tysiące głosów razem wybucha,
Pieni się w złości zgraja bezbożna
Ledwie wyrazy zrozumieć można:
„Mieni się królem.“ — „Lud oszukiwa,
Boga on ojcem swoim nazywa,
Do faryzejów nienawiść nieci,

Leczy we święta, nie pości wcale,
 Nad Jeruzalem rozwodzi żale,
 I wielkie miastu nieszczęścia wróży,
 Synem się bożym głosi, lud burzy,
 Czartów wypędza w imię czartowskie,
 Łamie najświętsze prawa żydowskie,
 Powiada że jest posłannik boży,
 Dwuznaczną mową ludzi i trwoży.
 Przed chwilą jeszcze, świadków jest wielu,
 Ktoś mu dał wody w bramie Ofelu,
 To on mu za to przyrzekł w nagrodę
 Wiekuistego żywota wodę. “
 I tłum ten cały ciśnie się, tłoczy,
 By zarzut Panu uczynić w oczy,
 A razem rzucić przekleństwa słowo
 Albo obelgę wyrządzić nową.
 A zbiry biją, pchają, targają,
 Do opowiedzi Pana zmuszają
 Krzycząc ze złości: gadajże! gadaj!
 Coż powiesz na to? no! odpowiadaj!

Annasz i całe to sądne grono
 Dowcipy sypią, żarciki stroją:
 „No! znamy teraz naukę twoją
 Dosyć wyraźnie ją wyłożono.
 Coż teraz powiesz królu i panie?
 Gdzież jest monarsze twoje dziedzictwo?
 Kiedyż rozpoczniesz twe królowanie?
 Pokaż nam boskie twe posłannictwo!
 Ktoś ty jest? Annasz szyderezco pyta,
 A w głosie jego wściekłość ukryta.
 Jestżeś ty synem lichego cieśli,
 Czyli też może onym Eliaszem,
 Co go anieli w niebo unieśli
 W ognistym wozie? czy Malachiaszem

O którym gadka dobrze ci służy,
 Bo powiadają dotąd niektórzy,
 Że nie miał ojca ten prorok wcale,
 Że był aniołem, nie umarł, żyje,
 Lecz się do czasu przed ludźmi kryje.
 No! coż? wszak zgadłem? ha! doskonale!
 Wyborna zręczność dla oszukańca
 Grać rolę tego niebios posłańca!..
 Aleś ty królem! rzecz dowiedziona!
 I nawet większym nad Salomona!
 No! bądź spokojnym królu i panie,
 Dam ja ci prawo na królowanie,
 I odpowiednie godności takiej
 Monarsze twoje wręcę ci znaki.“

To powiedziawszy skinął na sługi,
 By mu podali zwój jakiś długi;
 Napisał na nim rząd głosek wielkich,
 Treść to czynionych oskarżeń wszelkich,
 Zwinął, w butelkę wrzucił tykwową,
 Którą przytwierdził u końca trzciny,
 I znów ku Panu zwracając słowo:
 „Oto masz berło twojej krainy,
 Twego królestwa i władzy twojej,
 Idź z niem i wezwij arcykapłana,
 Niech uzna w tobie króla i pana,
 I niech cię przyjmie jako przystoi;
 Wy zwiążcie ręce królowi temu,
 Wiedźcie na sądy arcykapłańskie.“

Więc tłum się rzuca znów po dawnemu
 I powtarzając krzyki bluźniercze
 Dają mu owo berło szydercze,
 I znów z bezbożnym krzykiem i śmiechem
 Do Kaifasza ciągną z pospiechem.

VII.

SĄD KAIFASZA.

Dom Kaifaszów widny zdaleka,
Tak go do koła jasność obleka;
Blaskiem pochodni oblany cały
Noc przy nim znikła, rzekłbyś dzień biały.
Żołnierze strzegą wejścia do sali,
W przedsionku wielki ogień się pali,
Przy nim tłum mnogi tłoczy się, ściska;
Niewiasty siedzą obok ogniska,
To napoj leją, to pieką ciasta
Dla głodnej rzeszy przybyłej z miasta.
Tłum coraz większy, cisną się, duszą,
Aż straże siły używać muszą.

W sądnej komnacie, w wielkie półkole,
Tuż przy najwyższym kościoła xięciu,
Z radością w duszy, z chmurą na czole,
Zasiadło sędziów siedemdziesięciu.
Obok, po stronach, tłum dostojników,
Radnych, pismiennych i urzędników,

Tłum faryzejów podłych i mściwych,
Za tymi zgraja świadków fałszywych.

Niżej od stopni tego wzniesienia
Aż do drzwi głównych, aż do przedsienia,
Którędy więźnia wprowadzić mają,
We dwa szeregi żołnierze stają.

Kaifasz zasiadł śród sędziów grona,
Postać surowa, twarz zasępiona,
Wzrok jego w którym zajadłość błyska,
Groźne, złowieszcze spojrzenia ciska.
Obliczu co się gniewem płomieni,
Wtoruje szata krwawej czerwieni,
Bogato w koło złotem ozdobna.
Głowę pokrywa czapka złożona,
Z boków otwarta, w górę wzniesiona,
Z kształtu biskupiej mitrze podobna.

Próżno powagą złość swą ukrywa,
Nie może wytrwać, z miejsca się zrywa
I do przedsionka gwałtownie bieży,
Gniewnie o więźnia pyta żołnierzy:
Ale już orszak widać zdaleka,
Więc wraca spiesznie zasiadł i czeka.
Zawyla tłuszcza szalem miotana,
Zbiry przed sądem stawiają Pana.
Szydercze berło z rąk pańskich wzięli
I przywiązaną tykwę odjęli,
Pismo Annasza z fiaszy dobyli,
Kaifaszowi do rąk złożyli.
Ten, szybkim napis przebiegłszy wzrokiem,
Wybucha brudnych obelg potokiem,
I tysiąc pytań szeregiem długim
Ciska bez przerwy jedno za drugim.

A zbiry krzyczą targając Pana:
 „Coż to? niesłyszysz arcykapłana?
 Czyś ty oniemiał? ozwij się! gadaj!
 Mów buntownik! mów! odpowiadaj!“
 I bluźnią Panu mową bezbożną,
 Męczą, katują, wszystko napróżno.
 Jezus wciąż milczy, cichy, spokojny,
 Wzrok utkwil w ziemię, niewznosi czoła,
 Niebiańską swoją słodyczą zbrojny
 Której nic w świecie zmącić nie zdoła.

Więc znów do zeznań świadki wezwano,
 Lecz nie nowego nieusłyszano,
 Każdy tożsamo znówu ogłasza,
 Co już przed sądem wyrzekł Annasza.
 Zarzuty puste lub niedorzeczne,
 A i te nieraz niezgodne, sprzeczne.
 Ten mówi że się królem nazywa,
 Lecz drugi świadek głos mu przerywa:
 Nie! woła, królem on się nie mieni,
 Tylko dozwała; raz gdy szaleni
 Chcieli go królem głosić przed ludem,
 To zniknął z tłumu jak gdyby cudem.
 Tam znów ktoś woła: zawsze przed gminem
 Śmie siebie bożym nazywać synem.
 Bo wołę bożą, głos inny woła,
 Mówi że spełnia jak tylko zdoła.
 Tam słyhać okrzyk: to jest czarodziej,
 Niby to lekarz, niby dobrodziej,
 Wszak mię wyleczył? i coż? pozory!
 Czartowskie sztuki! otom znów chory!

Skarg mnóstwo, lecz z tych zeznań natłoku
 Niemożna zgoła stworzyć wyroku,
 A choćby tylko dostać podstawy
 Na czyn żądany, na wyrok krwawy.

Sami sędziowie widzą na oczy,
 Że tłum ten cały co tak się tłoczy
 Nie może Pana w niczem obwinić,
 Tylko chce złości zadość uczynić.
 To też wzrok sędziów zajadłej błyska,
 Kaifasz znowu szyderstwa ciska:
 Jakim ty królem? gdzie twoja władza
 Co to aniołów legie sprowadza?
 Czemuż ich teraz w pomoc niewzywasz?
 A gdzie to skarby swoje ukrywasz,
 Grosz coś wyludził od głów szalonych
 I wdów przez twoje sztuki zwiedzionych.
 Mówże przed sądem! coż to? czyś niemy?
 Umiesz ty mówić gdzieindziej! wiemy!
 Trzeba ci było milczeć tak wprzód,
 Teraz zapożno, mamy dowody.

W tem nowe skargi słyhać dokoła,
 Że wbrew wyraźnym prawom kościoła
 Wczoraj już odbył świętą wieszczę,
 Że już lat kilka praw tych niestrzeże,
 Że w nich wyraźne poczynił zmiany,
 Że zakonowi gwałt jest zadany.
 Ale dwaj tajni pańscy uczniowie,
 Józef ¹⁾, Nikodem, w dobitnej mowie,
 Dowiedli jasno wbrew przeciwnikom,
 Że to jest wolno Galilejczykom,
 I ukazali w archiwach prawnych
 Przywilej na to od czasów dawnych,
 Prawo wyraźne, a to z powodu
 Takiego wówczas mnóstwa narodu,
 Że wszystko skończyć na dzień szabasu,
 Za mało było miejsca i czasu.

¹⁾ Józef zwany z Arymatei.

Dowodzą wreszcie że wszystko zgola
 Odbyto ściśle wedle zakonu,
 I za pomocą służby kościoła,
 Którą ku temu wzięto z Sionu.
 I wykazują przed sądem jawnie
 Skarg wszystkich płonność i niedorzeczność,
 Albo wyraźne fałsze i sprzeczność,
 I że się wszystko dzieje bezprawnie.
 Po co ten pospiech? gwałt tak zawzięty,
 W sprawie tak ważnej, w porze tak świętej.

Ale głos taki tylko poduszcza
 Złość faryzejską; zjadła tłuszcza
 Tem głośniejsz huczy, rzuca się, wścieka,
 Krwi tylko łaknie, krwi tylko czeka.

Gniew Kaifasza nie ma już granic,
 Widzi że wszystkie zeznania na nic,
 Że jedne drugim wyraźnie przeczą,
 Co jedne stawia drugie niweczą;
 Widzi że krzywda Panu czyniona,
 Że tłumy srogość i okrucieństwo,
 A ta cierpliwość niewysłowiona
 Z jaką Pan znosi takie męczeństwo,
 Widocznie w sercach obecnych ludzi
 Ku Jezusowi współczucie budzi.
 Widzi że świadków, już kilkakrotnie,
 Krzykiem zmuszono milczeć sromotnie.
 Nie jeden żołnierz szyki porzuca,
 Izbę opuszcza, niby to chorzy,
 Widok to pański tak ich zasmuca
 I świętą w duszach przemianę tworzy.

Kaifasz wszystko bacznie dostrzega,
 Zrywa się z miejsca, ku Panu zbiega,

Czemu nie mówisz? ze złością woła,
 Nic że nie powiesz na to? nie zgoła?
 I tem się bardziej w gniewie unosi,
 Że Pan na niego ocz nie podnosi.

Więc znowu wściekle zawyły głosy,
 Zbiry targają Pana za włosy
 I w różne strony szarpiają za sznury,
 Naglą by czoło podniosł do góry;
 Lecz próżna wściekłość zgrai szalonej,
 Wzrok pański ciągle w ziemię spuszczonej.

Kaifasz zadrżał, rzuca się, sroży,
 Okropna walka wrze w jego łonie,
 Miota nim razem wściekłość i trwoga;
 Nagle, gwałtownie wznosił w górę dłonie,
 Wzywam cię, woła, w imieniu Boga!
 Jesteś ty Chrystus? jesteś syn boży?..

W komnacie cisza nastąpiła głucha
 Ziemia i piekło milczy i słucha.

A wśród tej ciszy tak uroczystej,
 Że przelot muchy byłby szelestem,
 Wznosił się głos jasny, święty, przeczysty,
 Głos przedwiecznego słowa: „Tak, jestem.“

Kaifasz piekłem samem natchniony
 Drze połą swojej szaty czerwonej,
 I głosem wielkim woła: bluźnierstwo!
 Po co tu świadki? wszyscy słyszycie!
 Takie bluźnierstwo! i co mówicie?

A sąd i ludu tłum, i żołnierstwo,
 Złączone w jedno w onej godzinie,
 Jakoby jeden potwór stułbowy
 Wybuchła nagle krwawymi słowy:

„Na śmierć go, na śmierć, na śmierć! niech ginie!“
 W ludzkiej postaci piekielna wrzawa,
 Szaleje, huczy, wzbiera, nastawa,
 Coraz wścieklejszym szalem miotana.
 Chwila to straszna! tryumf szatana!
 Tryumf czynności nad wszechświatłością,
 I nienawiści nad wszechmiłością!

Kto choć skrę prawdy dotrzymał w łonie,
 Kto choć krztę czucia dochował jeszcze,
 Ten twarz ze zgrozy ukrywszy w dłoń, i
 Rzuca co prędzej miejsce złowieszcze.
 Nawet niektórzy świadkowie sami
 Uchodzą spiesźnie zalani łzami,
 Taka w ich sercach zrządzona zmiana
 Bezprawiem sędziów, dobrocią Pana.
 Inni, myślący tylko o zysku,
 W sieni po pieniądź cisną się tłumnie,
 I przy płonącym żywo ognisku,
 Za grosz krwią zlaną uczują szumnie.

A po nad wrzawą rzeszy bluźnierczej
 Słysząc głos jakiś ostry, szydarczy:
 „Wam zwierzam króla! król znamienity!
 Złóćcież mu teraz hołd należyty“
 Głos to, niestety, arcykapłana,
 Gdy w ręce zbirów oddaje Pana.
 I wstał wśród krzyków, gwaru i szumu,
 A za nim wszyscy sędziowie katy,
 I do pobocznej dążą komnaty
 Na radę tajną zdala od tłumu.



VIII.

ZAPRZANIEC BOŻY.

Jan z Piotrem w płaszczach służby kościelnej
 Zmylili strażę i pośród ciżby
 Wdarli się razem do sądnej izby,
 Zmienionej w istny sobor piekielny.
 Duchem i sercem w milczącej skrusze,
 Dzielili wszystkie pańskie katusze,
 Aż gdy na słowo „jam jest“ wszech-piekło
 Z całą swą złością wybuchło wściekłą,
 Gdy tłum ten cały w owej godzinie
 W chór jeden z piekłem zawył „niech ginie!“
 Złamani bolem w tej strasznej burzy
 Już nie zdołali wytrzymać dłużej.
 Jan wspomniał Maryą i do niej spieszy,
 Piotr radby z Panem zostać wśród rzeszy,
 Lecz już boleścią władać nie umie
 Łącznoby teraz zdradził się w tłumie,
 Łzami pierś wzdyma, łza z oczu tryska,
 Więc wycieńczony dziennym zachodem,

Przejęty bolem i rannym chłodem
 Wyszedł, i stanął bliżej ogniska,
 Gdzie tłum już złością pianych zbrodniarzy
 Grzeje się, pije, szydzi i gwarzy.

Śród takiej wrzawy, jakby śród ciszy
 Piotr nie widzi, Piotr nie słyszy,
 Widno że w strasznej z sobą rozterce
 Duchem przy panu, a w trwodze serce,
 A bój ten niemy co się w nim toczy
 I widna z lica boleść niezmierna,
 Już nie jednego uderza w oczy;
 Już i niewiasta jakaś odźwierna
 Wskazując Piotra z złością wykrzyka:
 Pewnieś ty uczeń Galilejczyka?
 Zbudzon z dumania mową złowrogą
 Piotr zadrzał cały okropną trwogą,
 I w bezpamiętnym, strasznym zapale
 Co mówisz? woła, nieznam go wcale.
 Powstał i z tłumu jakby z płomieni
 Począł uchodzić, aż w progach sieni
 Znów go niewiasta jakaś spotyka
 Mówiąc: tyś uczeń Galilejczyka!
 I coś po cichu szepce tłumowi;
 Niejeden w drodze mówi Piotrowi:
 Powiedz czy prawdę mówi niewiasta?
 A na to słowo strach Piotra wzrasta:
 Nieprawda, nieznam tego człowieka;
 I na podwórze spiesznie ucieka.

I tu tłum wielki, lecz innych ludzi,
 Tych nie krwi żądza lecz litość budzi,
 Są między nimi poczciwi, prawi,
 Są też jak wszędzie bywa, ciekawi,
 Co to za każdą nowostką spieszą,
 A gdy do sądu nie mogli z rzeszą,

Na dziedzińcowe wdarli się mury
 I tak czekają końca tej chmury.
 Jest tu i uczeń niejeden pański
 Co ochłonawszy już nieco z trwogi,
 Zdala od onej zgrai złowrogiej
 Czeką w ukryciu na sąd szatański.
 Ci widząc Piotra stają mu w drodze,
 Ale on cały oddany trwodze
 Dał im znak ręką, a oni w strachu
 Co prędzej nikną w zakątkach gmachu.
 Strach serce Piotra ziębi i pali;
 Czemuż z innymi nie biegnie dalej?
 Wszak przestrasz mówią hamulca nie ma,
 Czemuż Piotr stanął, co go tu trzyma?
 Co go tu więzi jak na łańcuchu,
 I zwraca nazad, co? miłość w duchu,
 Miłość ku Panu szczerą, niezmierną,
 W ciele niewierną, lecz w duchu wierną.
 Zwrócił się, biegnie w dziedziniec drugi,
 Gdzie ma znajome kościelne sługi,
 Minął przedsiónek ów z ciżbą krwawą,
 Pomknął co prędzej, zwrócił się w prawo
 Do onej wielkiej krągłej komnaty
 Za sądnią izbą; tam teraz katy
 Ubrawszy Pana w wieniec słomiany,
 W plugawą zamiast płaszcza łachmany,
 W piekielne z niego żarty się bawią,
 Plują mu w oczy, szarpią i krwawią.
 Łańcuch kolczaty kładą na szyję.
 Zwalaną szmatą wiążą mu oczy
 I bijąc krzyczą: Mistrzu proroczy!
 Zgadnijże teraz, powiedz kto bije?
 Ciągnać za łańcuch suną się dalej,
 Prowadzą Pana do sądnej sali,
 Kędy przed chwilą złością potężny
 Zasiadał sobor krzywoprzysiężny.

No! dalej, dalej królu słomiany
 Trzeba ci stanąć przed radne pany,
 Niech z twej królewskiej widzą odzieży,
 Żeś cześć odebrał jakać należy.

Gdy tak do sali wprowadzą Pana,
 Wybucho zgraja śmiechem szatana,
 Plwają i błotem ciskają w oczy:
 „Otoś namaszczon królu proroczy!“
 A inni krzyczą: „Co? w takim stanie,
 Śmiesz tutaj stawać, zwalany, brudny,
 Ty co chcesz wszystkich czyścić, o! Panie,
 Zaraz tu będziesz czysty i schludny.“
 I najplugawsze biorąc pomyje
 Leją na Pana, a piekło wyje:
 Oto olejek nad wszelkie ceny,
 Droższy niż owa maść Magdaleny. —
 I wiodą Pana w pochód w około
 Po sądnej sali, przed wielką radę,
 A radne pany hucznie, wesolo
 Piekielną z nimi dzielą biesiadę.

Do tej to sali Piotr się przedziera,
 Ale mu ciżba przejście zapiera,
 A widna wszystkim boleść Piotrowa
 Pełne podejrzeń wyciska słowa;
 Dziko nań patrzy zgraja złowroga,
 Więc znowu w Piotrze budzi się trwoga,
 Wraca napowrót w drugie podwórze
 Lecz i tu długo wytrwać nie może;
 Trwoga i miłość rwą go na dwoje,
 Straszna to walka, ciężkie to boje!
 Pobiegł do sieni, przysiadł na chwilę,
 Radby odpocząć, zebrać się w sile.
 Aż oto znowu chmurzą się czoła
 I szepty jakieś słychać dokoła,

Już go ktoś jawnie palcem wytyka :
 „Znam cię, tyś uczniem Galilejczyka“.
 Na takie słowa straszego świadka
 Upadł na duchu Piotr do ostatka,
 Upadł, jak każdy z nas upaść musi,
 Kto własną siłą wytrwać się kusi,
 Kto w bój śmiertelny idąc na wroga,
 Mniema że zdoła sprostać bez Boga.
 Upadł, bo człowiek sam padnie zawdy,
 I uczeń prawdy wyparł się prawdy !
 Już bez pamięci, już bez rozumu,
 Już bez sumienia, czucia, pojęcia,
 Przeciwno prawdzie rzuca zaklęcia :
 „Nie znam go, nie znam !“ i wybiegł z tłumu.

Wbiegł na podwórze ; cisza dokoła
 Nic ani szasnie ! głuche milczenie,
 Czemuż Piotr zadrzał ? wszak nikt nie woła,
 Nikt, słyhać tylko kogucie pienie,
 Nikt, nikt nie woła, tylko sumienie.

W tej właśnie chwili, blady, skrwawiony,
 Związany powrozem, zbity, zbłocony,
 Półnagi, zziębły, skuty, oplwany
 Jak łotr nad łotry, szedł Pan nad Pany,
 Okropną zgrają otoczon w koło ;
 W krwawym pochodzie podniósł Pan czoło
 I w stronę Piotra rzucił spojrzenie,
 Pewnie surowe jak potępienie
 Za tyle zdrady, tyle niewiary !...
 O ! tak ! zaprawdę pańskie spojrzenie
 Surowszem było nad wszelkie kary,
 Bo było rzewne i miłościwe
 I współczujące i litościwe,
 Pełne dobroci onej bez miary !

Ujrzał Piotr Pana, spotkał spojrzenie,
 Zrozumiał teraz kogucie pienie,
 I słowa pańskie i ich niemylność,
 I pychę swoją a w niej bezsilność,
 I miłość pańską niewyczerpaną
 I tej miłości ranę zadaną,
 A serce jego wątłe, bo człecze
 Strasznej boleści przebodły miecze.
 Już z tej boleści i z tego żalu,
 Aż na krzyżowym ochłonie palu.
 Wyparł się Boga Piotr: a któż może,
 Kto się ośmieli rzucić kamieniem
 Gdy się obliczy z sobą w pokorze,
 W duszy, przed Bogiem i przed sumieniem.
 Wyprzeć się Boga, straszna to zbrodnia!
 Nieogarniona w żadne wyrazy,
 Lecz któż z nas takiej nie spełnia co dnia?
 Ach! i nie trzykroć lecz stokroć razy!
 I nie w imieniu już, ale w rzeczy!....
 Bo któż z nas życiem prawdzie nie przeczy?
 Choć wciąż głos pański woła przestrogą:
 „Jam jest sam prawdą, życiem i drogą“.

Ojczy nasz! ojczy! oto w tej chwili
 Całe się piekło nad nami sili,
 Całą swą wściekłość wrogi wywarli,
 Byśmy się Ciebie jak Piotr wyparli
 Ciebie o! Chryste! bo drogi świętej
 Przy chrzcie za polską drogę przyjętej,
 Ciebie o Chryste! Ciebie, bo prawdy
 Bo tyś jest prawdą wszędzie i zawdy;
 Ciebie o! Chryste! Ciebie, bo życia,
 Bo tyś jest życiem, niecierpisz gnicia;
 Ciebie o! królu nasz! bo wolności,
 Bo tyś wolnością jest w najwyższości.

Ziemi i piekiel cała potęga
 Na to się sady, na to sprzysięga,
 Na to nas w ciągłej trzyma katuszy,
 Byśmy twe prawo wyrwali z duszy,
 A pokochali podłość i zgniłość,
 A podeptali prawdę i miłość.

I oto ojców kraina święta
 Już na wskroś, Chryste! krwią przesiąknięta!
 Krwią młodzieniaszków naszych i dzieciak,
 Krwią starców białych, łzą sióstr i matek!
 Tonjemy ojczyzno! w łez i krwi morzu,
 A jak świat wielki w całym przestworzu,
 W całej tej bliźnich narodów rzeszy,
 Nikt! nikt! na pomoc prawdzie nie spieszy!
 A są i tacy, przebac im Panie!
 Których to nasze razi konanie,
 Więc kładąc dłonie w krwawe nam łona
 Pytają: kiedyż naród ten skona?
 Dziwią się długiem serc naszych biciem,
 Ha! bo niewiedzą że tyś nam życiem!
 Że tyle tylko w nas siły, ducha,
 Ile cię Polak kocha i słucha.
 Tak! tyś nam życiem Chrystusie Panie!
 Dajże nam w takiej wierze wytrwanie,
 A jakoś raczył niegdyś nad Piotrem,
 Albo nad onym zlitować łotrem,
 Co się na krzyżu zwrócił ku tobie,
 Tak dziś miłościw bądź nam w tej próbie,
 I nie opuszczaj nas w tej potrzebie
 Nie daj nam nigdy wyprzeć się siebie,
 Twojego ducha i twojej zbroi
 I prawdy twojej i drogi twojej.

Lecz jeśli nasze wiekowe grzechy
 Przeszły ogromem aż łask twych miarę,

Gdyśmy niegodni życia pociechy,
 Daj nam choć ginąć jak ojce stare,
 Z tymi świętymi w ustach uśmiechy,
 Z jakimi oni gaśli za wiarę.
 Daj nam o Panie! ów żal Piotrowy,
 Daj nam o Panie! choć zgon krzyżowy,
 Niech z naszych mógł Polsce się stanie
 Droga do ciebie, wszechmocny Panie!
 Niech Polsce zbawczą sterczą przestroga,
 Żeś ty jej życiem, prawdą i drogą.

Treść.

Spomnienie o Karolu Balińskim str. I.

MĘCZEŃSTWO ZBAWICIELA.

I. Zbawiciel w ogroju	—	5.
II. Zdrada	—	29.
III. Pojmanie	—	37.
IV. Zabiegi wrogów	—	49.
V. Jeruzalem	—	53.
VI. Annasz	—	61.
VII. Sąd Kaifasza	—	67.
VIII. Zaprzaniec boży	—	75.

INSTITUT
BADAŃ NAUKI
BIBLIOTEKA

<http://icjii.org.pl>

Tel. 75-3 53, 26-6-31 w. 42

1884

Spis treści o Karolu Balaštinu

Męczeństwo KAWCZURKI

1	—	I. Zawieszony w ogrodzie
23	—	II. Zdrada
37	—	III. Pożądanie
49	—	IV. Zabójczy wrogowie
63	—	V. Jasnok
81	—	VI. Ananiasz
87	—	VII. Świątynia
103	—	VIII. Zakończony dzień



cup 30

F
74